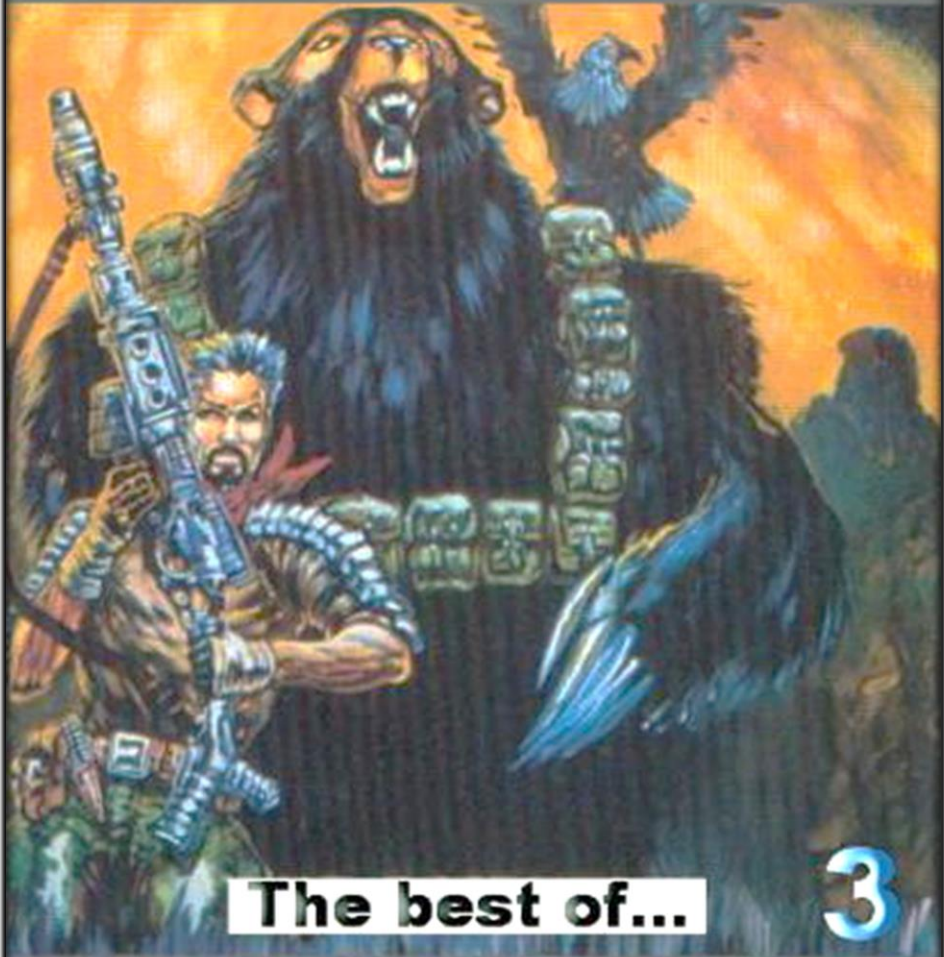


MJSJA KOLONJALNA



MURRAY LEINSTER

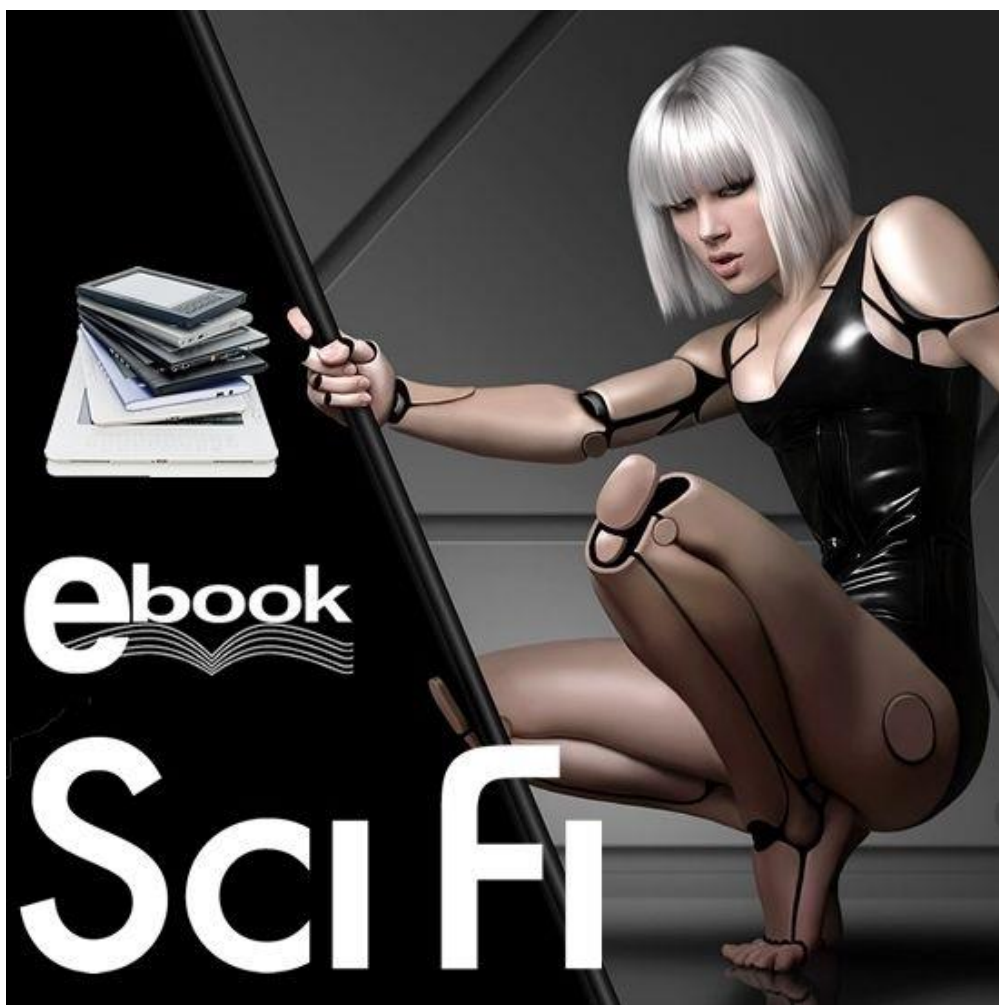
Murray Leinster

Misja badawcza

(Exploration Team)

Cykl [Colonial Survey](#)

przełożyła Joanna Grabarek



Murray Leinster to jeden z pseudonimów literackich Williama Fitzgeralda Jenkinsa, który dał się poznać również jako Will F. Jenkins i pod wieloma innymi nazwiskami. Tworzył wiele i nie ograniczał się tylko do fantastyki naukowej. Napisał na przykład mnóstwo powieści sensacyjnych. Obecnie jednak znane są głównie utwory SF, które wydawał jako Murray Leinster. Również za życia pisarza największe zainteresowanie wzbudzała jego twórczość właśnie w tej dziedzinie. Murray Leinster miał wpływ na rozwój współczesnej fantastyki naukowej.

Pierwsze opowiadanie sprzedał w roku 1919 do „Argosy”. Wiatkach dwudziestych publikował u Hugo Gernsbacka w „Amazing”, a w okresie 1940-60 stał się jednym z filarów magazynu „Astounding” i tam też ukazały się jego najlepsze dzieła. Powieści Leinstera powstały wiele lat temu i w większości są już dawno zapomniane. Był on jednym z niewielu pisarzy, którzy zdobyli pozycję głównie dzięki opowiadaniom. W pewnym sensie „wynałazł” kilka podgatunków SF, które uprawiane są w czasach nam współczesnych. Napisał na przykład Sideways In Time, jedno z

pierwszych opowiadań dotyczących historii alternatywnej (światów równoległych), a także słynne First Contact - jedną z najwcześniejszych historii o pierwszym kontakcie z obcymi. Oba te dzieła są do dziś uznawane za najlepsze w swojej kategorii. Znana jest również trzymająca w napięciu i nieco przerażająca Misja badawcza, którą prezentujemy w niniejszym zbiorze. W 1956 roku Leinster zdobył dzięki niej swoją jedyną nagrodę Hugo. Opowiadanie to przez całe lata było inspiracją dla pisarzy i scenarzystów. Nikt w tamtych czasach nie stworzył lepszej historii o ziemskich badaczach, którzy zmagają się z niebezpieczeństwami na obcej planecie. Można też śmiało stwierdzić, że w ciągu kolejnych czterdziestu lat nie powstało bardziej udane opowiadanie.

Najlepszą powieścią Leinstera jest chyba The Wailing Asteroid - pełna wyobraźni, poruszająca i ze szczyptą dziwactwa, czytana do dziś. Inne to m.in. The Pirates of Zan, The Forgotten Planet, The Greks Bring Gifts i The War with the Gizmos. Misja badawcza i pozostałe opowiadania o kolonizacji innych planet zostały zebrane w jednym z najlepszych zbiorów tego autora, Colonial Survey. Inne, nie tak już popularne, z

cyklu Med Service, znalazły się w zbiorach S.O.S. from Three Worlds i Doctor to the Stars. Leinster napisał także dwie powieści, The Mutant Weapon i This World Is Taboo. Wśród wielu zbiorów tego autora są Monsters and Such oraz The Best of Murray Leinster. Większość książek Leinstera już dawno nie miała wznowień i trudno do nich dotrzeć. Wydany w 1978 roku zbiór The Best of Murray Leinster można jeszcze znaleźć w antykwariatach. Na szczęście NESFA Press wypuściła właśnie na rynek obszerny zbiór, który zawiera większość najlepszych opowiadań autora - First Contacts: the Essential Murray Leinster.

Will Jenkins, wszechstronnie utalentowany człowiek, który przywdział maskę Murraya Leinstera, odnosił sukcesy nie tylko jako pisarz. Ma na swoim koncie kilka wynalazków. Opracował między innymi specjalną metodę filmowania tła, znaną jako „projektor Leinstera”, którą do dziś stosuje przemysł filmowy. Podczas drugiej wojny światowej wymyślił sposób maskowania śladu zostawionego na wodzie przez peryskopy łodzi podwodnych. Jego wynalazek prawdopodobnie uratował życie tysiącom marynarzy pływających na tego typu jednostkach w czasie wojny.

William Jenkins alias Murray Leinster zmarł w roku 1975.

1

Po niebie przepłynął bliższy księżyc. Nieregularny w kształcie, jakby postrzępiony. Prawdopodobnie była to asteroida złapana w pole grawitacyjne. Huygens widywał go nader często, więc tym razem nie wyszedł z kwatery, by obserwować, jak księżyc przesuwają się po niebie z szybkością pozornie taką samą jak pojazdy atmosferyczne i zasłania gwiazdy na niebie. Zamiast tego pocił się nad robotą papierkową. Powinno to wydać się dziwne, gdyż Huygens był praktycznie rzecz biorąc przestępcą i cała jego praca na Loren Dwa była nielegalna. Niezwykłe mogło się wydać również, że jest zamknięty w pokoju o stalowych okiennicach razem z wielkim orłem o łysej głowie, który drzemie na grzędzie przymocowanej do ściany. Jednak grzebanie się w papierach nie było podstawowym zajęciem Huygensa. Jego jedyny asystent miał bliskie spotkanie z nocnym włóczęgą i pewien statek należący do Kompanii Kodiusa zabrał potajemnie jego ciało do rodzimego

portu. Huygens został sam z całą robotą. W dodatku, o ile wiedział, był jedynym człowiekiem w tym systemie słonecznym.

W dole usłyszał posapywanie. Sitka Pete podniósł się ciężko i poczołgał do pojemnika ze schłodzoną wodą. Napił się, po czym głośno kichnął. Sourdough Charley obudził się i z głuchym warkotem wyrażał swoje niezadowolenie. Huygens słyszał pod stopami pomruki i powarkiwania.

- Cicho tam! - zawołał i wrócił do pracy.

Uporał się z raportem klimatologicznym i wprowadził dane do komputera. W czasie gdy maszyna z buczeniem przetwarzała ciągi liczb, Huygens zajrzał do spisu inwentarza w dzienniku stacji i sprawdził, jakie zapasy zostały w magazynie. Potem zaczął wprowadzać zapiski. „Sitka Pete najwyraźniej rozwiązał problem uśmiercania poszczególnych sfeksów. Zrozumiał, że ich ściskanie nie przynosi efektów oraz że jego pazury nie mogą przebić się przez skórę tych stworzeń - w każdym razie nie przez powłoki grzbietu. Dzisiaj Semper powiadomił nas, że grupa sfeksów wytropiła ślad zapachowy wiodący do stacji. Sitka przyczał się po zawietrznej i

czekał, dopóki nie nadeszły. Wtedy stanął na tylnych łapach i potężnie klasnął przednimi, uderzając sfeksa w głowę z obu stron jednocześnie. Wyglądało to zupełnie tak, jakby zatrzasnęły się dwie ogromne muszle małża. Uderzenie musiało zrobić z mózgu sfeksa jajecznicę i niewątpliwie go zabiło. Sitka uśmiercił w podobny sposób jeszcze dwa sfeksy. Sourdough Charley tylko pomrukiwał, ale kiedy sfeksy rzuciły się na Sitkę, ruszył do akcji. Nie mogłem oczywiście strzelać zbyt blisko Sourdougha, więc mogło mu się nie powieść. Jednak wtedy z niedźwiedziej nory wynurzyła się Faro Nell i pośpieszyła z pomocą. Dzięki temu Sitka mógł ponownie wykorzystać nowo opracowaną technikę. Stał na tylnych łapach i machał przednimi, jakby był niedźwiedziem grizzly. Walka zakończyła się szybko. Semper latał nad miejscem bitwy i wrzeszczał, ale jak zwykle nie włączył się do walki. Uwaga: Nugget, młody niedźwiadek, także chciał uczestniczyć w «zabawie», ale matka odpędziła go szturchańcem. Sourdough i Sitka jak zwykle zignorowali małego. Zdrowe geny Kodiusa Championa!”.

Słyszał dochodzące z zewnątrz odgłosy nocy. Wśród nich rozróżniał dźwięki przypominające granie organów. To odzywały się śpiewające jaszczurki. Słyszał też zawodzenia i chichoty nocnych włóczęgów - chociaż nie było powodu do śmiechu. Dochodziły go też odgłosy, które przywodziły na myśl wbijanie gwoździ młotkiem i zamykanie drzwi, a oprócz tego zewsząd słyhać było dźwięki o różnej wysokości, brzmiące jak czkanie. Wydawały je nieprawdopodobne, małe stworzenia, które na Loren Dwa były odpowiednikiem owadów. Huygens pisał dalej: „Kiedy walka się skończyła. Sitka był bardzo podekscytowany. Skrupulatnie wypróbowywał swoją nową sztuczkę na każdym martwym lub rannym sfeksie, z wyjątkiem tych, które sam zabił. Podnosił im głowy i miażdżył je jednym kłaśnięciem, zupełnie jakby chciał zademonstrować Sourdoughowi swój patent na zabijanie. Burcząc nieustannie, zaciągnęły padlinę do spalarki. Wyglądało to prawie tak...”.

Zadźwięczał sygnał kontaktu ze statkiem. Huygens gwałtownie odwrócił głowę, by spojrzeć na kontrolkę. Orzeł Semper otworzył oczy i mrugnął. Wokół Huygensa narastał hałas. Gdzieś z dołu

dobiegło długie, głębokie, pełne zadowolenia chrapanie. W dżungli coś zapiszczało. Rozległa się czkawka, stukanie i dźwięki organów. Znowu zabrzmiał brzęczyk. Był to znak, że przelatujący gdzieś w górze statek odebrał sygnał z radiolatarni i kontaktował się z planetą. Najwyraźniej chciał tu lądować. Tylko Kompania Kodiuma wiedziała o promieniu nawigacyjnym, ale teraz nie powinno być tutaj żadnych statków! Loren Dwa była jedyną planetą nadającą się do zamieszkania w całym systemie, lecz oficjalnie uznano ją za nieodpowiednią do kolonizacji, ze względu na wrogie formy życia zwierzęcego, czyli sfeksy. Nie zezwolono na założenie kolonii, ale Kompania Kodiuma złamała prawo, nielegalnie zasiedliła planetę. Popelniono też parę poważniejszych przestępstw.

Sygnał odezwał się po raz trzeci. Huygens sięgnął ręką, aby wyłączyć radiolatarnię, ale wiedział, że to bezcelowe. Radar i tak znowu włączy nadajnik i powiąże „usterkę” z oddziaływaniem pobliskiego morza lub zjawisk atmosferycznych wywoływanych przez obecność Martwej Równiny. Statek i tak znajdzie lądowisko i o poranku pojawi się w pobliżu jego bazy.

- Niech to wszyscy diabli! - przeklął Huygens. Czekał, aż brzęczyk ponownie się odezwie. Statki Kompanii Kodiusa nadawały zwykle podwójny sygnał, dla pewności. Ale przecież nie powinny się tu pojawiać przez najbliższe parę miesięcy! Dzwonek odezwał się tylko raz. Jednocześnie zamigotał sygnał z nadajnika kosmicznego i Huygens usłyszał głos, brzmiący metalicznie na skutek zakłóceń w stratosferze:

- Wzywam stację! Wzywam stację! Statek Linii Kreteńskich, „Odyseusz”, wzywa bazę na Loren Dwa. Wysyłamy prom z jednym pasażerem. Włączcie światła na lądowisku.

Huygensowi opadła szczeka. Statek Kompanii Kodiusa miał tu zawsze wstęp wolny. Pojawienie się statku Misji Kolonialnej byłoby bardzo niepożądane, ponieważ oznaczałoby zniszczenie stacji, a wraz z nią Sitki Pete'a, Sourdougha, Faro Nell, Nuggeta i Sempera. Natomiast Huygens zostałby wywieziony i oddany wymiarowi sprawiedliwości, a następnie skazany za nielegalną kolonizację planety i wszelkie konsekwencje tego czynu. Ale statek handlowy, który wysyła lądownik z jednym pasażerem? Sytuacja niewyobrażalna! To się nie mogło zdarzyć w nieznaney,

nieautoryzowanej kolonii. Nie w przypadku tajnej stacji!

Huygens włączył światła na lądowisku. Zobaczył oślepiający blask za oknem. Wrzucił do niszcarki wszystkie papiery i dokumenty osobiste. Każdy zapisek, jakikolwiek dowód na to, że stację utrzymuje Kompania Kodiusa. Zatrzasnął drzwiczki, położył palec na przycisku. Jeden ruch i niszcarka zlikwiduje całą zawartość szuflady. Przerobi nawet popiół. Nie zostanie nic, co mogłoby zostać wykorzystane w sądzie. Zawahał się nagle. Jeśli to statek Misji Kolonialnej, powinien włączyć maszynę i przygotować się na długi pobyt w więzieniu. Ale jeśli głos z nadajnika mówił prawdę, był to statek Linii Kreteńskich, a więc nie stanowił zagrożenia. Jego pojawienie się było po prostu niewiarygodne. Huygens potrząsnął głową. Włożył okrycie wierzchnie, wziął broń i zszedł na dół do kwatery niedźwiedzi. Zapalił światło. Usłyszał pełne zdziwienia sapnięcie. Sitka Pete usiadł, mrugając z zaskoczeniem. Sourdough Charley leżał na plecach, z łapami w górze. Było mu chłodniej, gdy spał w takiej pozycji. Przewrócił się na brzuch z łomotem i zaczął wydawać parsknięcia, które

brzmiały dziwnie serdecznie. Faro Nell stanęła w wejściu do jej prywatnej części jaskini. Miała własne „mieszkanko”, aby Nugget nie plątał się pod nogami samców i ich nie denerwował.

Huygens jako przedstawiciel rodzaju ludzkiego na Loren Dwa miał przed sobą siłę roboczą, bojową i - wliczając Nuggeta - cztery piąte populacji ziemskiego gatunku na tej planecie. Były to zmutowane niedźwiedzie Kodiaka, potomkowie Championa Kodiusa, od którego wzięła nazwę Kompania Kodiusa. Sitka Pete był inteligentnym drapieżnikiem, ważącym dobry tysiąc kilogramów. Sourdough ważył może pięćdziesiąt kilo mniej, a Faro Nell była dziewięćsetkilową masą wdzięku i dzikości.

Nugget wytknął pysk obok zadka matki, ciekawy, co się dzieje. Mały niedźwiadek ważył ze trzysta kilogramów. Zwierzęta patrzyły na Huygensa z wyczekiwaniem. Gdyby na jego ramieniu siedział Semper, wiedziałyby, czego od nich chce.

- Idziemy - powiedział. - Na zewnątrz jest ciemno, ale mamy gości. A to może oznaczać kłopoty!

Odblokował zewnętrzne drzwi niedźwiedzich kwater. Sitka Pete wypadł przez nie w niezdarnym

galopie. Otwarta szarża była najlepszym rozwiązaniem w każdej sytuacji, oczywiście jeśli się było przerośniętym niedźwiedziem Kodiaka. Sourdough powlókł się za pierwszym samcem. W pobliżu stacji nie było niczego, co mogłoby stanowić zagrożenie. Sitka stał na tylnych łapach - mierzył teraz jakieś sześć metrów - i węszył. Sourdough krążył tam i z powrotem, wietrząc ślad. Filigranowa dziewięćsetkilogramowa Faro Nell wyszła przed jaskinię i zamruczała z przyganą na Nuggeta, który podążał tuż za nią. Huygens stał w drzwiach i trzymał w pogotowiu broń wyposażoną w celownik z reflektorem. Nie podobało mu się to, że wysyła niedźwiedzie w nocy do dżungli, ale w przeciwieństwie do niego potrafiły z daleka zwietrzyć niebezpieczeństwo.

Oświetlenie szerokiej drogi, która prowadziła do lądowiska, nadawało roślinności dziwaczny wygląd. Widać było powyginane gigantyczne paprocie, kolumny wyrastających ponad nie drzew i niezwykle lancetowate zarośla, które stanowiły podszycie lasu. Umieszczone na ziemi reflektory oświetlały wszystko od spodu, przez co listowie odbijało się jasną plamą

na nocnym niebie tak, że w poświacie niktneły gwiazdy.

- Naprzód! - rozkazał Huygens i machnął ręką. - Dalej! Zamknął drzwi prowadzące do niedźwiedzi kwater i ruszył aleją pośród oświetlonego lasu w kierunku lądowiska. Dwa olbrzymie samce szły przed nim. Sitka Pete opadł na cztery łapy i stąpał czujnie. Sourdough Charley tuż za nim obserwował obie strony drogi. Huygens maszerował za niedźwiedziami, a Faro Nell wraz z Nuggetem obstawiali tyły. Razem stanowili doskonały oddział bojowy, idealny do przedzierania się przez niebezpieczną dżunglę: Sourdough i Sitka trzymali przednią straż i jednocześnie stanowili szpicę, natomiast Faro Nell kroczyła w tylnej straży. Opiekowała się małym Nuggetem, więc była szczególnie wyczulona na atak od tyłu. Huygens oczywiście był siłą uderzeniową. Miał broń strzelającą nabojami wybuchowymi, które odstraszały nawet sfeksy, z celownikiem zaopatrzonym w reflektor. Gdziekolwiek zwracał broń, tam padał jasny snop światła. Nie była to broń godna prawdziwego sportowca, ale stworzenia na Loren Dwa ignorowały zasady fair play. Musiał na przykład uważać na

nocnych włóczęgów. Stworzenia te bały się światła, a kiedy było zbyt jasno, wpadały w rodzaj hysterii i atakowały.

Huygens zbliżał się w kierunku lądowiska zalanego oślepiającym światłem. Rozsadzała go wściekłość. Stacja założona na Loren Dwa przez Kompanię Kodiusa była całkowicie nielegalna. Tylko w ten sposób mogła w ogóle powstać, niemniej zbudowano ją, łamiąc prawo. Metaliczny głos w odbiorniku udawał, że ignoruje ten fakt, jednak nie brzmiało to zbyt przekonująco. Jeśli wyląduje tu statek, Huygens zdąży wrócić do stacji przed przybyciem gości i uruchomić niszczarkę. W ten sposób uchroni swoich pracodawców przed karą.

Zamiast ryku dysz statku usłyszał jednak w oddali wysoki, ostry świst silników rakietowych ładownika. Przedzierał się przez nierealnie wyglądające zarośla, a trzy wielkie niedźwiedzie przecierały szlak, węsząc nieustannie. Stanowiły doskonały oddział zaczepno-obronny, idealnie przystosowany do warunków tej planety.

Silniki zabrzmiały głośniejsz. Huygens przedostał się na skraj lądowiska. Promienie oślepiającego

światła kierowały się ku niebu, aby detektory statku mogły rozpoznać miejsce lądowania. Kiedyś takie lądowiska były wszędzie. Teraz wszystkie rozwinięte ekonomicznie planety miały sieci - monstrualne urządzenia sięgające aż do jonosfery, skąd czerpały energię. Sieci potrafiły wynosić i sprowadzać statki z niezwykłą delikatnością i nieograniczoną siłą. Tradycyjne lądowiska powstawały tam, gdzie pracowały zespoły badawcze, na obszarach tymczasowych pomiarów bakteriologicznych i ekologicznych, albo po prostu w świeżo autoryzowanych koloniach, których nie było stać na zbudowanie sieci. Oczywiście było nie do pomyślenia, aby ktoś Próbował zbudować cokolwiek wbrew prawu!

Huygens stał na skraju wielkiej, wypalanej polany. Światło przyciągnęło mnóstwo nocnych stworzeń. Powietrze było gęste od szaleńczo wirujących, malutkich latających zwierząt wszelkich kształtów i rozmiarów. Widział białe nocne komary, wieloskrzydłe latające czerwie, a także odrażające nagie istoty, które można by uznać za wyskubane latające małpy, gdyby nie to, że były drapieżne. Latające stwory wzbijały się wysoko w górę, wirowały,

tańczyły i niczym ómy rzucały się na ośleprosto w światło. Wydawały przy tym zawodzące, tęskne odgłosy. Uformowały nad lądowiskiem coś w rodzaju kopuły, która przesłoniła gwiazdy. Huygens z trudem dostrzegł białoniebieski płomień silników raketowych. Ich odblask stopniowo stawał się coraz bardziej widoczny.

W pewnym momencie silniki zmieniły położenie, korygując kurs. Żarząca się plamka na niebie powoli rosła do rozmiarów gwiazdy, potem zmieniła się w lśniący księżyc, aż wreszcie przybrała wygląd bezlitosnego, porażającego blaskiem oka-słońca. Huygens odwrócił wzrok. Sitka usiadł ciężko - ważył w końcu ponad tonę - i zerkał w stronę czarnej ściany dżungli. Sourdough zignorował narastający huk silników i węszył czujnie. Faro Nell mocno trzymała Nuggeta jedną łapą i wylizywała go, jakby chciała doprowadzić małego do porządku przed ważnym spotkaniem. Niedźwiadek wiercił się niecierpliwie.

Ryk znowu przybrał na sile, stał się niemal nie do wytrzymania. Ciepły podmuch owiał Huygensowi twarz. Ładownik spadał w dół. Płomienie silników liznęły zwartą kopułę utworzoną przez latające

stworzenia, które płonęły, wirując w powietrzu. Potem z ziemi podniósł się kłęb pyłu i środek lądowiska zapłonął przeraźliwym światłem. Coś wypluło z siebie snop ognia, spłaszczyło go i osiadło, gasząc płomienie. Prom spoczywał teraz na pławkach ogonowych, z dziobem wzniesionym ku niebu.

Zapadła przerażająca cisza, a potem stopniowo nocne stworzenia znowu zaczęły swoją zwykłą gadaninę. Huygens odzyskał słuch. Słyszał dźwięki organów i delikatne, jakby przepaszające odgłosy czkawki. Z łoskotem otworzył się boczny właz ładownika i coś, co najwyraźniej było schowane w kadłubie, rozwinęło się teraz na zewnątrz promu. Huygens ujrzał metalowy pomost rozciągnięty nad rozpaloną ziemią.

Ze statku wynurzył się mężczyzna. Cofnął się, by uścisnąć komuś rękę. Zszedł po drabince na pomost i przemaszerował nad dymiącą polaną. W ręku niósł torbę podróżną. Przedostał się pośpiesznie na skraj polany i pomachał w kierunku promu. W kadłubie widoczne były iluminatory - może ktoś w statku odwzajemnił gest. Chodnik złożył się i zapakował z powrotem do kadłuba. Pod tylnymi wspornikami

wybuchnął płomień. Znowu podniosły się kłęby gęstego, dławiącego pyłu i zrobiło się jasno, jakby wybuchło słońce. Ryk silników był nie do zniesienia. Chwilę później kula światła uniosła się ponad chmurę kurzu i zaczęła się szybko oddalać. Kiedy uszy Huygensa na powrót zaczęły funkcjonować, słychać już było tylko cichnący pomruk daleko w niebie, a prom stał się znowu jasną drobinką, która sunęła po niebie na wschód, gdzie zapewne miał go przechwycić statek matka.

Odgłosy nocnej dżungli narastały. Przyroda na Loren Dwa nie przejmowała się działaniami ludzi. Na polanie widać było żarzący się krąg wypalanej ziemi. Niski, energiczny mężczyzna z torbą podróżną rozglądał się dookoła, wyraźnie zaintrygowany. Kiedy tylko żar przygasł, Huygens ruszył w jego kierunku, a Sourdough i Sitka podążały przed nim. Faro Nell ciągnęła się wiernie z tyłu, pilnując synka. Nieznajomy gapił się na nich w milczeniu. Nawet jeśli był przygotowany na takie powitanie, musiał odnieść teraz dość nieprzyjemne wrażenie: wylądował w środku nocy na dziwnej planecie, a tu zbliżają się do niego - mogło się nawet wydawać, że podchodzą go niczym

zwierzyinę łowną - dwa ogromne samce niedźwiedzi i samica z małym. Przyglądał się temu na pozór obojętnie. Potem poruszył się, jakby zaskoczony, a Huygens zawołał:

- Witam! Proszę się nie bać niedźwiedzi! Są oswojone. Sitka dotarł do przybysza, ostrożnie ustawił się pod wiatr i powąchał. Zapach obcego - zapach człowieka - nie był niepokojący. Samiec z głuchym stęknieniem posadził ponad tonę swego cielska na pokrytej popiołem ziemi. Spoglądał na przybysza uprzejmie. Sourdough wyrzucił z siebie coś, co zabrzmiało jak gwizd, i poszedł patrolować obszar poza polaną. Przybysz nosił uniform Misji Kolonialnej, a to oznaczało kłopoty. Co gorsza, nosił insygnia starszego oficera.

- Ha! - powiedział. - A gdzie są roboty? Do stu tysięcy diabłów, co to za kreatury?! Dlaczego przenieśliście stację? Nazywam się Roane i przyjechałem, aby przygotować szczegółowy raport o waszej kolonii.

- Jakiej kolonii? - zapytał zdziwiony Huygens.

- Kolonii Robotów na Loren Dwa - odparł Roane z oburzeniem. - Tylko mi nie mów, że ten idiota kapitan

wysadził mnie w złym miejscu! Jesteśmy na Loren Dwa, prawda? A to przecież lądowisko. Gdzie są wasze roboty? Powinniście tu mieć fundamenty pod sieci. Co się tutaj dzieje, do diabła, i skąd się wzięły te bestie?!

Huygens skrzywił się.

- Wylądował pan w nielegalnej, nielicencjonowanej osadzie - odpowiedział uprzejmie. - Jestem przestępcą, a te bestie to moi wspólnicy. Jeśli nie chce się pan zadawać z kryminalistami, oczywiście nie musi pan. Wątpię jednak, czy przeżyje pan tu sam do rana, chyba że przyjmie moje zaproszenie. Ja zaś pomyślę, co mam zrobić w tej sytuacji. Właściwie powinienem pana zastrzelić.

Faro Nell podeszła bliżej i zatrzymała się za Huygensem jak zwykle, gdy wychodzili poza stację. Nugget, który po raz pierwszy zobaczył nową istotę ludzką, nieśmiało ruszył w kierunku Roana. Był mały i nastawiony przyjaźnie, choć miał ponad metr wysokości w kłębie. W pewnym momencie kichnął z zakłopotania. Matka odepchnęła go na bok. Maluch zaczął zawodzić. Płacz trzystukilogramowego małego niedźwiedzia Kodiaka sprawia dość niezwykle wrażenie. Roane cofnął się o krok.

- Uważam - zaczął ostrożnie - że powinniśmy zachować spokój. Oczywiście jeśli to rzeczywiście nielegalna kolonia, jest pan aresztowany i wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciw panu.

Huygens znowu się skrzywił.

- Jasne - powiedział. - Chodźmy do stacji. Mógłbym polecić Sourdoughowi, żeby zaniósł pana bagaż. On lubi nosić różne rzeczy. Ale jesteśmy kilometr od stacji i może jeszcze potrzebować swoich zębów. - Odwrócił się w stronę zwierząt. - Idziemy! - zakomenderował. - Do stacji! Naprzód!

Sitka Pete wstał pomrukując i przejął swoje obowiązki jako szpica drużyny bojowej. Sourdough podążył za nim zygzakiem, patrolując okolicę. Huygens i Roane szli razem, a Faro Nell i Nugget obstawiali tyły. Był to jedyny sposób, aby bezpiecznie przedostać się przez dżunglę na Loren Dwa do ufortyfikowanej bazy. W drodze powrotnej zdarzył się tylko jeden incydent. Natknęli się na nocnego włóczęgę, który wpadł w histerię na widok oświetlonej alei. Stworzenie wypadło z zarośli, wydając z siebie odgłosy przypominające histeryczny śmiech. Sourdough załatwił go jakieś pięć metrów od

Huygensa. Kiedy było po wszystkim, Nugget najeżył się, rzucił na martwego stwora i zaczął wydawać piskliwe pomruki. Udawał, że atakuje martwe zwierzę. Matka bolesnym kłapsem przerwała mu zabawę.

2

Z dołu dochodziły pomrukiwania kodiaków. Niedźwiedzie długo jeszcze burczały, ale w końcu się uspokoiły. Blask światła lądowiska zniknął i aleja prowadząca przez dżunglę pograżyła się znowu w ciemności. Huygens zaprowadził przybysza do części mieszkalnej. Coś poruszyło się z szelestem i Semper wytknął łeb spod skrzydła. Patrzył chłodno na dwoje ludzi. Nagle rozpostarł olbrzymie, dwumetrowe skrzydła i zatrzepotał nimi. Kłapnął dziobem.

- To jest Semper - przedstawił orła Huygens. - Semper Tyrannis. Kolejny przedstawiciel ziemskich gatunków na tej planecie. Nie wyszedł panu na spotkanie, gdyż nie należy do nocnych stworzeń.

Roane spojrział na olbrzymie ptaszysko, które siedziało na wbudowanej w ścianę, grubej grzędzie.

- Orzeł? - spytał, jakby oczekiwał wyjaśnienia. - Najpierw niedźwiedzie Kodiaka, zmutowane, jak pan

twierdzi, lecz mimo wszystko niedźwiedzie, a teraz jeszcze orzeł? Ma pan tutaj niezły oddział bojowy.

- Kodiaki służą także jako zwierzęta juczne - odparł Huygens. - Mogą nieść ponad sto kilogramów i nie tracą przy tym sprawności bojowej. Nie mam też problemów z ich wyżywieniem, gdyż jedzą to, co upolują w dżungli. Z wyjątkiem sfeksów. Żadne zwierzę nie zje sfeksa, nawet jeżeli uda mu się go zabić.

Wyciągnął butelkę i szklanki. Przybysz odstawił torbę podróżną.

- Dlaczego nazwałeś orła Semper Tyrannis? - zapytał. - Rozumiem, że Sitka Pete i Sourdough Charley to coś w rodzaju nazwisk. Pasuje, zważywszy na pochodzenie przodków tych niedźwiedzi. Ale dlaczego Semper?

- Był szkolony do polowań. Można poszczuć psa, można też Sempera. Jest zbyt duży, aby jeździć na rękawicy, więc podróżuje na moich ramionach. Moje płaszcze są w tym miejscu wzmocnione, żeby mnie nie pokaleczył. Jest latającym zwiadowcą. Nauczyłem go, że ma informować nas o obecności sfeksów, a poza tym na czas lotu instaluję mu małą kamerę. Jest

użyteczny, ale nie tak inteligentny jak niedźwiedzie. Roane usiadł i upił łyk ze swojej szklanki.

- Interesujące... bardzo interesujące! Ale to nielegalna baza. Jestem oficerem Misji Kolonialnej i do moich obowiązków należy sporządzanie raportów o postępie w rozwoju kolonii. Niemniej jednak muszę cię aresztować. Czy dobrze pamiętam, że zamierzałeś mnie zastrzelić?

- Staram się znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji - tłumaczył Huygens. - Jeśli zebrać do kupy wszystkie kary przewidziane za nielegalne osiedlenie, to gdybym pozwolił ci zameldować o tej bazie, miałbym kiepskie widoki na przyszłość. Logika podpowiada, że najlepiej byłoby się ciebie pozbyć.

- Rozumiem - powiedział Roane - lecz skoro o tym mowa, w kieszeni mam laser wycelowany w ciebie. Huygens wzruszył ramionami.

- Moi koledzy wrócą tutaj wcześniej niż twoi przyjaciele. Jeśli znajdą tutaj ciebie i mojego trupa, będziesz w prawdziwych tarapatach.

- To prawda. - Roane pokiwał głową. - Jest również możliwe, że twoi towarzysze nie zechcą ze mną współpracować. Masz przewagę, mimo że ja

trzymam cię na muszce. Z drugiej strony mogłeś mnie łatwo zlikwidować zaraz po starcie promu. Wtedy jeszcze nie podejrzewałbym niczego. Zatem chyba nie chcesz mnie zamordować.

Huygens skwitował to ponownym wzruszeniem ramion.

- A więc - kontynuował Roane - ponieważ sekret nawiązywania dobrych stosunków z innymi ludźmi polega na odkładaniu na bok wszelkich kwestii spornych, sądzę, że nie powinniśmy się na razie zajmować odpowiedzią na pytanie, kto kogo zabije. Szczerze mówiąc, jeśli tylko będę mógł, odeślę cię do więzienia. Bezprawna kolonizacja to paskudna sprawa. Jednak przypuszczam, że musisz znaleźć jakieś polubowne rozwiązanie. Na twoim miejscu pewnie też bym to zrobił. Rozejm?

Huygens nie wykazywał żadnego zainteresowania.

- Zatem ogłaszam jednostronne zawieszenie broni - rzekł Roane. - Muszę! - Wyciągnął z kieszeni laser i położył na stole.

- Zatrzymaj pistolet - powiedział Huygens. - Na Loren Dwa nie przeżyjesz długo bez broni. - Odwrócił się w kierunku kredensu. - Jesteś głodny?

- Raczej tak - przyznał Roane.

Huygens wyciągnął z szafki dwa opakowania z żywnością i włożył je do wmontowanej niżej kuchenki. Ustawił talerze.

- Co stało się z oficjalną, licencjonowaną, autoryzowaną kolonią? - zapytał Roane z ożywieniem. - Pozwolenie przyznano osiemnaście miesięcy temu. Wylądowali tu koloniści z całą górą wyposażenia i zapasów. Kontaktowali się ze statkiem cztery razy. Powinno tu być kilka tysięcy robotów pracujących pod kierunkiem ludzi. Powinno tu być pole uprawne o powierzchni stu kilometrów kwadratowych i przynajmniej na wpół zbudowane lądowisko. No i oczywiście jeszcze radiolatarnia do nawigacji statków podczas lądowania. Tymczasem niczego takiego tu nie ma. Żadnej dobrze widocznej z góry polany. Ten kreteński statek krążył na orbicie przez trzy dni i starał się znaleźć miejsce do lądowania dla promu. Pani kapitan strasznie się wściekała. Twoja radiolatarnia jest jedyną na tej planecie, a jej sygnał

złapaliśmy przez przypadek. Co się tu stało? Huygens podał jedzenie i stwierdził oschle:

- Mogłoby tu powstać sto kolonii i żadna nie wiedziałaby nic o istnieniu pozostałych. Co do twoich robotów mogę tylko zgadywać, lecz prawdopodobnie natknęły się na sfeksy.

Roane zastygł z widelcem w dłoni.

- Czytałem trochę o tej planecie, ponieważ miałem pisać raport o założonej na niej kolonii - powiedział. - Sfeksy to przedstawiciele rodzimej fauny. Zimnokrwiste, wojownicze drapieżniki, nie zwykłe jaszczurki, lecz stworzenia na swój sposób genialne. Polują w stadzie. Dorosły osobnik waży czterysta kilogramów. Sfeksy są niebezpieczne, ale jest ich zbyt dużo, aby je wytępić. Z tej przyczyny nigdy nie przyznano ludziom licencji na osiedlenie się na Loren Dwa. Mogły tu pracować tylko roboty, ponieważ są maszynami. Jakie zwierzę atakuje maszyny?

- Raczej jaka maszyna potrafi polować na zwierzęta? - uściślił Huygens. - Sfeksy nie będą ruszać robotów, ale gdyby zaszła potrzeba, to czy maszyny potrafiłyby zabijać sfeksy?

Roane przeżuł kęs i przełknął.

- Zaraz! Nie można skonstruować robota myśliwego, z tym się zgodzę. Maszyny mogą dostrzegać różnice, ale nie potrafią decydować. Dlatego nie istnieje groźba rebelii robotów. Maszyny nie potrafią decydować i nie zrobią niczego, jeśli nie mają odpowiednich instrukcji. Tę kolonię zaplanowano, znając umiejętności i ograniczenia robotów. Miejsce zostało oczyszczone i ogrodzone siatką pod napięciem. Każdy sfeks, który dotknąłby płotu, usmażyłby się natychmiast.

Huygens w zamyśleniu kroił jedzenie.

- Wylądowali w zimie - zauważył po chwili milczenia. - Musieli, bo kolonia przetrwała jakiś czas. Zgaduję, że ostatnie lądowanie statku miało miejsce przed odwilżą. Rok liczy tu osiemnaście miesięcy, wiedziałeś o tym?

- Rzeczywiście, lądowali zimą, ostatni raz tuż przed nadejściem wiosny. Najpierw mieli uruchomić kopalnie, które dostarczyłyby materiału do budowy. Prócz tego należało oczyścić cały obszar zasiedlenia i ogrodzić go płotem chroniącym przed sfeksami, zanim powrócą z tropiku. Rozumiem, że przetrwali zimę.

- Czy kiedykolwiek widziałeś sfeksa? - zapytał Huygens - Nie, oczywiście, że nie. Jeśli skrzyżujesz kobrę z dzikim kotem, pomalujesz ją na niebiesko i beżowo, na dodatek obdarzysz wstrętem do wody i skłonnościami morderczymi, otrzymujesz sfeksa. Tak przy okazji, one potrafią wspinać się po drzewach. Płot nie stanowi dla nich przeszkody.

- To był płot pod napięciem - zaproponował Roane.
- Nic nie mogłoby się na niego wspiać!

- Żadne normalne zwierzę - zgodził się Huygens.
- Ale sfeksy są bardzo dziwne. Zapach jednego martwego sfeksa budzi w całej reszcie krwiożercze instynkty. Wystarczy zostawić martwego sfeksa w jakimś miejscu i za sześć godzin pojawią się dziesiątki jego pobratymców. Za dwa dni przybędą całe setki, a później tysiące. Sfeksy gromadzą się i lamentują nad martwym bratem, a potem polują na zabójcę. Przez chwilę jedli w milczeniu.

- Nie muszę się długo domyślać, co się stało z twoją kolonią - podjął Huygens. - Zimą roboty wypaliły połac lasu i zgodnie z instrukcjami postawiły elektryczny płot dookoła polany. Z nadejściem wiosny powróciły sfeksy. Są ciekawskie, pomijając ich inne

brzydkie cechy. Któryś próbował wspiać się na ogrodzenie, żeby zobaczyć, co jest po drugiej stronie, i się usmażył. Zapach padliny przyciągnął inne sfeksy, oszalałe z wściekłości, ponieważ zgiął ich brat. Niektóre próbowały pokonać płot. Zapach ich trupów sprowadził kolejne sfeksy. Wkrótce potem płot się przewrócił pod ciężarem zwisających na nim martwych bestii, a zwał padliny utworzył coś w rodzaju pomostu nad ogrodzeniem. Wszystkie sfeksy, które zwietrzyły smród martwych pobratymców, pognały co sił w nogach na polanę, wściekłe, oszalałe od zapachu trupów. Fala wyjących sfeksów zalała polanę w poszukiwaniu ofiar i myślę, że udało im się dokonać zemsty.

Roane przestał jeść. Wyglądał na chorego.

- W dokumentach, które czytałem, były zdjęcia sfeksów - rzekł. - Myślę, że to wyjaśnia... wszystko. Odłożył widelec na stół.

- Nie mogę jeść.

Huygens nie skomentował. Skończył posiłek z nachmurzoną miną. Włożył talerze do zmywarki. Kiedy ucichły odgłosy wirowania, wyjął z maszyny czyste naczynia i odłożył je na miejsce.

- Pokaż mi te raporty - powiedział oschłym tonem. - Chcę się dowiedzieć, jak były zbudowane roboty.

Roane zawahał się, ale w końcu otworzył swoją torbę. W środku znajdowała się mikroprzełęczarka i rolki filmów. Jeden z nich miał nalepkę „Opis techniczny budowli. Misja Kolonialna”. Powinien zawierać szczegółowe plany oraz wszelkie dane materiałowe i robocze pomocne przy budowaniu osady, począwszy od mebli, poprzez biura dla urzędników aż do sieci, które potrafiły wysyłać w kosmos ponad sto tysięcy ziemskich ton z planet o silnym przyciąganiu. Jednak Huygens wybrał inną rolkę. Włożył ją do wyświetlarki, a potem zaczął przeglądać film. Zatrzymywał się na dłużej przy ramkach z indeksem, aż wreszcie dotarł do sekcji, której szukał. Z rosnącym zniecierpliwieniem zaczął odczytywać informacje.

- Roboty! - sapnął. - Dlaczego z nimi eksperymentują?! Powinny odwalać brudną robotę w miastach albo na pozbawionych powietrza planetach, gdzie nie zdarza się nigdy nic nieoczekiwanego! Robotów nie powinno być w nowych koloniach.

Osadnicy chcą widzieć w nich obrońców. Cholera! Pozwól człowiekowi przebywać przez jakiś czas z robotami, a zacznie myśleć, że natura jest równie ograniczona jak one! To jest plan stworzenia kontrolowanego środowiska. Kontrolowane środowisko?! Na Loren Dwa?! - przeklął soczyście. - Zadowolone z siebie, zidiociało, biurokratyczne inteligenciki!

- Nie mam nic przeciw robotom - zaproponował Roane. - Bez nich nasza cywilizacja nie zaszłaby tak daleko.

- Nie można okiełznać dzikiej przyrody za pomocą maszyn! Wylądowało tu kilkunastu ludzi. Na początek mieli pięćdziesiąt robotów i części do zbudowania kolejnych piętnastu setek. I założę się o wszystko, co mam, że wasze statki dostarczały nowych elementów.

- To prawda - przyznał Roane.

- Gardzę robotami - warknął Huygens. - Czuję wobec nich to samo co starożytni Grecy i Rzymianie w stosunku do niewolników. Powinny służyć do czarnej roboty, takiej, którą człowiek może wykonać dla siebie,

ale na pewno nie zrobi tego dla innych. Rozumiesz?
Mówię o zajęciach poniżających!

- Dość arystokratyczne podejście - zauważył Roane z lekką ironią w głosie. - Rozumiem, że roboty sprzątają jaskinie twoich niedźwiedzi?

- Nie! - odparł Huygens z oburzeniem. - Sam sprzątam! Te zwierzęta to moi przyjaciele! Walczą za mnie! Żaden robot by ich potrzeb nie zrozumiał.

Na zewnątrz rozbrzmiewały odgłosy nocnego życia planety; dźwięki organów, czkanie, stukanie młoteczków i trzaskanie drzwi. Gdzieś w głębi lasu rozległo się wyjątkowo nieharmonijne skrzypienie, jakie wydaje zardzewiała pompa.

- Szukam zapisu o projektach wydobycia - powiedział Huygens, wpatrując się w przeglądarkę. - Jeśli mieli tam kopalnie odkrywkowe, byli bez szans. Gdyby jednak wykopali tunel, w którym podczas ataku sfeksów znajdowali się ludzie nadzorujący roboty... w takim wypadku mogliby przeżyć.

Roane popatrzył na Huygensa w skupieniu.

- A wtedy...? - zapytał.

- Do diabła! - warknął Huygens. - Jeśli tak, pójdę się o tym przekonać. Inaczej ci, co przeżyli, nie będą

mieli żadnej szansy. Chociaż nie zawsze warto mieć szansę.

Roane uniósł brwi.

- Jestem oficerem Misji Kolonialnej. Powiedziałem, że wsadzę cię za kratki, jeśli tylko zdołam. Przebywasz na nielicencjonowanej planecie i nie poddałeś się kwarantannie. Narażasz w ten sposób życie milionów ludzi. Czy przyszło ci do głowy, że jeśli uratujesz kogoś z ruin kolonii robotów, ten człowiek stanie się świadkiem twojej nielegalnej obecności na Loren Dwa?

Huygens przewinął film w przeglądarce i zatrzymał. Przesuwał zapis do przodu i do tyłu, aż wreszcie znalazł to, czego szukał.

- A jednak wydrążyli tunel - mruknął z zadowoleniem. - Co do świadków, zacznę się nimi martwić, kiedy przyjdzie pora - powiedział do Roane'a.

Odsunął na bok drzwiczki w kredensie. Wewnątrz znajdowały się różne rzeczy przydatne do naprawy urządzeń domowych, o których istnieniu zwykle człowiek nie ma pojęcia, dopóki się nie zepsują. Był tam cały asortyment drutów, tranzystorów, śrub i innych przedmiotów, których

mógłby potrzebować mieszkający samotnie mężczyzna. Zważywszy na fakt, że Huygens był jedynym mieszkańcem systemu słonecznego, wszystkie te drobiazgi mogły mu się okazać szczególnie przydatne.

- Co teraz? - spytał uprzejmie Roane.

- Zamierzam się przekonać, czy w bazie został jeszcze ktoś żywy - odparł Huygens. - Sprawdziłbym to wcześniej, gdybym wiedział o istnieniu kolonii. Nie mogę udowodnić, że wszyscy nie żyją, ale za to mogę dowieść, że ktoś tam jeszcze przetrwał. To zaledwie dwa tygodnie drogi stąd! Czy to nie dziwne, że dwie kolonie powstały tak blisko siebie?

Systematycznie wyciągał wybrane rzeczy z szafki.

- Do diabła! - zaklął Roane, wyraźnie rozdrażniony. - W jaki sposób chcesz sprawdzić, czy w miejscu odległym o setki kilometrów ktoś pozostał przy życiu? Pół godziny temu nawet nie wiedziałeś o istnieniu kolonii.

Huygens rozebrał wbudowany w ścianę panel. Odsłonił aparaturę i obwody elektryczne. Pracował w skupieniu.

- Myślałeś kiedyś o akcji ratunkowej? - rzucił przez ramię. - Masz przed sobą planetę o powierzchni kilkudziesięciu milionów kilometrów kwadratowych. Wiesz, że gdzieś na jej powierzchni rozbił się statek, ale nie masz pojęcia gdzie. Zakładasz, że ocaleli mają jakieś źródło mocy, ponieważ każdy cywilizowany człowiek potrafi zapewnić sobie jakieś źródło zasilania. Zbudowanie radiolatarni wymaga jednak fachowców i precyzyjnych pomiarów. Tutaj nie wchodzi w grę żadna prowizorka. Zatem co ma zrobić rozbitek, aby sprowadzić statek ratowniczy dokładnie na ten mały skrawek ziemi, na którym tak niefortunnie wylądował?

- Co?

- Na początek musi powrócić do natury. Na przykład gotować mięso na ogniu. Musi też stworzyć prymitywny system sygnalizacji. Coś, co potrafi zrobić bez użycia przyrządów pomiarowych, mikrometrów i innych specjalistycznych narzędzi. Wypełnić całą atmosferę planety sygnałem, którego ekipy ratunkowe nie będą mogły przegapić. Rozumiesz?

Roane po chwili namysłu przecząco potrząsnął głową.

- Nasz rozbitek - kontynuował Huygens - konstruuje więc przekaźnik radiowy. Ustawia sygnał wyjściowy na możliwie najniższą częstotliwość, zapewne fale od pięciu do piętnastu metrów długości, ale za to szerokie pasmo przekazu. Taki sygnał można odróżnić od szumów radiowych i wiadomo, że został nadany przez człowieka. Nasz rozbitek uruchamia emisję i sygnał rozchodzi się wokół planety. Niektóre częstotliwości przedostają się aż do jonosfery. Pierwszy lepszy statek, który zejdzie tak nisko, namierzy sygnał. Ustawi się na kursie, potem wychwyci kolejny sygnał i wprowadzi poprawki. W końcu poleci prosto tam, gdzie w ręcznie uplecionym hamaku spokojnie czeka sobie rozbitek i sący coś w rodzaju drinka, który wyprodukował z okolicznych roślin.

- Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, rzeczywiście...

- odburknął Roane.

- Mój nadajnik odbiera mikrofałe - powiedział Huygens. - Zamontuję w nim kilka elementów, żeby rejestrował też niższe częstotliwości. Nie jest bardzo czuły, ale złapie sygnał, jeśli ktokolwiek go nadaje. Chociaż się tego nie spodziewam.

Huygens zabrał się do pracy. Roane siedział nieruchomo przez długi czas i obserwował. Z dołu zaczęło dochodzić coraz głośniejsze chrapanie. Sourdough Charley spał na grzbiecie, z wszystkimi łapami w powietrzu. Sitka Pete mruczał przez sen - widocznie coś mu się śniło. Drzemiący w głównym pomieszczeniu stacji Semper otworzył gwałtownie oczy, po czym wetknął łeb pod olbrzymie skrzydło i znowu zasnął. Hałasy z dżungli przedostawały się do wewnątrz przez stalowe okiennice. Bliższy księżyc, który przepłynął po niebie, zanim skontaktował się z Huygensem kreteński frachtowiec, znowu gwałtownie wyrósł nad wschodnim horyzontem. Przemknął po niebie niczym samolot - nieregularna bryła skał i metalu, skazana na wieczną wędrówkę wokół wielkiej planety.

- Słuchaj, Huygens! - odezwał się gniewnie Roane. - Masz powód, aby mnie zabić, ale najwyraźniej nie zamierzasz tego zrobić. Masz powód, żeby zostawić kolonię robotów bez żadnej pomocy, tymczasem szykujesz się do akcji ratunkowej, jeśli oczywiście jest tam jeszcze ktoś, kto czeka na ocalenie. Do tego jesteś przestępcą, bez dwóch zdań!

Zdarzało się już nieraz, że ktoś przywłókł ze sobą do cywilizacji potworne zarazki z takich planet jak Loren Dwa. Umarło przez to bardzo wielu ludzi, a ty ryzykujesz znacznie więcej. Dlaczego? Dlaczego robisz coś, co może spowodować straszliwe konsekwencje dla innych?

- Wydaje ci się, że przy kontaktach z ludźmi nie stosuję żadnych zabezpieczeń ani kwarantanny - odburknął Huygens. - Jesteś w wielkim błędzie. Stosuję wszystkie środki ostrożności. A co do reszty, i tak byś nie zrozumiał.

- Nie pojmuję, to fakt! - krzyknął Roane. - Ale to wcale nie znaczy, że w ogóle nie potrafię tego zrozumieć! Dlaczego stałeś się przestępcą?

Huygens niestrudzenie dłubał śrubokrętem w panelu kontrolnym. Delikatnie podważył małą płytkę z układami elektrycznymi, a potem ostrożnie zaczął pakować do środka nową, większą część.

- Odcinam teraz wzmacniacz, chyba definitywnie - zauważył. - Ale myślę, że to wystarczy. Robię to, co robię - dodał spokojnie. - Jestem przestępcą, ponieważ przynosi to korzyści komuś takiemu jak ja. A przynajmniej tak mi się zdaje. Każdy człowiek

zachowuje się odpowiednio do tego, jak postrzega samego siebie. Ty jesteś sumiennym obywatelem i lojalnym urzędnikiem z dobrze dostosowaną osobowością. Uważasz się za inteligentne, racjonalne zwierzę, ale wcale się tak nie zachowujesz! Przypominasz mi o tym, że powinienem cię zastrzelić albo pozbyć się ciebie w jakikolwiek inny sposób, a przecież każda trzeźwo myśląca istota robiłaby wszystko, żebym o tym zapomniał. Tak się złożyło, Roane, że jesteś człowiekiem, podobnie jak ja. Tylko że ja jestem tego świadom, dlatego celowo robię rzeczy, których nie zrobiłoby żadne trzeźwo myślące zwierzę. W moim pojęciu tak właśnie powinien postępować człowiek. Bardzo ostrożnie przykręcił śrubki.

- Oho, czyżbyś był religijny? - mruknął Roane ze złością.

- Według mnie to szacunek do samego siebie - odparł Huygens. - Nie lubię robotów. Zbyt przypominają mi zwierzęta. Maszyna zrobi wszystko, co poleci jej nadzorca, oczywiście w miarę swoich możliwości. Trzeźwo myślące zwierzę zrobi wszystko, co potrafi w danych okolicznościach. Nie mógłbym polubić żadnego robota, chyba że miałby jakieś pojęcie

o tym, co jest korzystne z punktu widzenia człowieka, i naplułby mi w twarz, gdybym usiłował postąpić inaczej. Te niedźwiedzie na dole nie są automatami! To lojalne i honorowe zwierzęta, ale rozerwałyby mnie na strzępy, gdybym próbował zmusić je do czegoś, co jest wbrew ich naturze. Faro Nell rzuciłaby się na mnie bez wahania, gdybym skrzywdził Nuggeta. Byłby to gest bezsensowny, gdyż przegrałaby ze mną walkę i zginęła. Ale to właśnie lubię w Faro Nell! I ja także będę z tobą walczył, jeśli spróbujesz mnie zmusić, abym postąpił wbrew mojej naturze. Będę tak samo nierozsądny i irracjonalny jak niedźwiedzica broniąca małego. - Spojrzał przez ramię i rzucił Roane'owi uśmiech. - I ty także masz to w sobie, tylko że jeszcze tego nie rozumiesz.

Wrócił do pracy. Po chwili zamontował gałkę ręcznego sterownika w swoim dziwacznym urządzeniu.

- Ktoś próbował cię do czegoś zmusić - domyślił się Roane. - Czego zażądano, że w końcu skończyłeś jako kryminalista? Przeciwno czemu się buntujesz?

Huygens wdusił przełącznik i zaczął poruszać gałką odbiornika zmodyfikowanego tak, aby odbierał krótkie fale.

- Cóż - powiedział z rozbawieniem - kiedy byłem młody, także i ze mnie ludzie próbowali zrobić sumiennego obywatela i lojalnego pracownika z odpowiednio ukształtowaną osobowością. Starali się stworzyć bardzo inteligentne, trzeźwo myślące zwierzę. Nic więcej. Różnica między tobą a mną Polega na tym, że ja odkryłem ich zamysły i oczywiście postanowiłem się zbun... - przerwał w pół słowa.

Z głośnika dobieły się nagle trzaski przypominające odgłos smażonych frytek. Huygens nasłuchiwał w skupieniu. Bardzo, bardzo powoli przekręcił gałkę. Nagle Roane wykonał gest, jakby chciał zwrócić uwagę na nową nutę, która pojawiła się na tle szumu. Huygens pokiwał głową i bardzo nieznacznie przesunął pokrętło. Pośród trzasków i świstu słychać było mamrotanie, wyraźnie uporządkowane w jakiś wzór. Huygens wzmocnił odbiór i pomruk stał się głośniejszy. Teraz już nie można go było z niczym pomylić - to była sekwencja znaków. Trzy sygnały trwające pół sekundy, z

półsekundową pauzą między nimi. Sekunda przerwy, potem trzy sekundowe sygnały.

Kolejna sekunda przerwy, znowu trzy krótkie sygnały, a potem pięć sekund przerwy i znowu to samo.

- Niech mnie diabli! - zawołał Huygens. - To sygnał nadany przez człowieka! Kiedyś używano go, aby wezwać pomocy. Nazywa się SOS, chociaż nie wiem, co oznacza ten skrót. Ktoś musiał przeczytać jakąś staroświecką książkę, skoro wie o takim zestawie znaków. A to oznacza, że w twojej licencjonowanej, choć teraz zniszczonej kolonii robotów ktoś jednak przeżył i prosi o pomoc. Powiedziałbym, że bardzo jej potrzebuje.

Popatrzył na Roane'a.

- Na logikę, należałoby tu zostać i poczekać na statek, obojętne kto się zjawi najpierw, twoi czy moi przyjaciele. Statek na pewno pomoże ocalałym lepiej niż my. Co więcej, statek może znacznie łatwiej ich namierzyć. Tyle że dla tych nieszczęśników pewnie liczy się każda minuta. Dlatego wezmę niedźwiedzie i sprawdzę, czy uda mi się do nich dotrzeć. Możesz tu czekać, jeśli chcesz. Co tu dużo mówić, na Loren Dwa

wycieczki to bardzo nieprzyjemna sprawa. Będę musiał walczyć niemal o każdą piędź ziemi. Wokoło jest mnóstwo nieprzyjaznych zwierząt.

- Nie bądź idiotą! - wrzasnął Roane ze złością. - Oczywiście, że idę z tobą! Za kogo ty mnie masz?! We dwóch będziemy mieli czterokrotną przewagę.

Huygens wyszczerzył zęby.

- Niezupełnie. Zapominasz o niedźwiedziach. Z tobą będzie nas pięcioro. Oczywiście Nugget też musi iść, chociaż do niczego się nie przyda. Ale za to pomoże nam Semper. Twoja obecność nie podwoi naszych szans, Roane, ale cieszę się, że postanowiłeś zachować się głupio, bezsensownie i kompletnie nieracjonalnie. Witam w klubie!

3

Postrzępiona skała wyrastała trzysta metrów ponad doliną rzeki, której szeroki strumień kierował się na zachód, w stronę morza. Trzydzieści kilometrów na wschód ciągnęła się stroma ściana gór. Szczyty zlewały się w lity mur tuż pod niebem. U ich podnóża jak okiem sięgnąć rozciągała się falista nizina.

Mały punkcik na niebie powoli opadł w dół. Olbrzymie skrzydła załopotwały w powietrzu i Semper

wylądował na skale. Gwałtownie obrócił głowę. Spoglądał wokół nieruchomymi oczami. Na piersi nosił szelki, do których przymocowana była miniaturowa kamera. Stał dumnie na szczycie - samotny, arogancki pośród bezkresnej pustki. Nagle dało się słyszeć szelesty i odgłosy kruszenia skał, a potem węszenie i po chwili Sitka Pete wygramolił się na otwartą przestrzeń. On także nosił uprząż i przymocowaną do niej paczkę. Szelki miały skomplikowany układ, ponieważ musiały dobrze mocować bagaż na grzbiecie, a jednocześnie umożliwiać swobodne ruchy przednich łap w momencie, gdyby doszło do walki.

Niedźwiedź poruszał się bardzo ostrożnie. Przemierzył otwartą przestrzeń i dotarł do wyniosłej skały. Kiedy wdrapał się do Sempera, orzeł otworzył wielki, zakrzywiony dziób i głośnym skrzeczeniem wyraził oburzenie. Sitka najwyraźniej się tym nie przejął. Po chwili odpreżył się i usiadł swobodnie, rozkładając tylne łapy. Przyglądał się krajobrazowi, który rozciągał się poniżej, i wciągał w nozdrza powietrze. Wkrótce dało się słyszeć więcej odgłosów węszenia i ciężkie człapanie. Pojawił się Sourdough Charley, a za z nim Huygens i Roane. Sourdough

także taszczył na grzbiecie pakunek. Potem rozległ się pisk i na górze pojawił się Nugget, popędzany klapsami, które wymierzała mu matka. Faro Nell szła na końcu. Taszczyła padlinę jakiegoś rogatego zwierzęcia przyczepioną do uprzęży.

- Wybrałem to miejsce na podstawie zdjęcia z kosmosu - powiedział Huygens. - Ustalimy teraz ostateczne współrzędne.

Zdjął z ramion plecak, wyciągnął z niego urządzenie własnej chyba roboty i rozłożył antenę kierunkową. Potem podłączył do maszyny spory kawał giętkiego kabla i rozłożył małą, prowizoryczną antenę zamontowaną na jeszcze mniejszej przetwornicy. Założył słuchawki, rozejrzał się i powiedział ostro:

- Uważaj na niedźwiedzie, Roane. Wiatr wieje od strony, z której przyszliśmy. Jeżeli coś, na przykład sfeksy, idzie naszym śladem, kodiaki poczują zapach i nas ostrzegą.

Zajął się aparaturą. W tle słyszał szумы, które na pewno nie były sygnałem nadawanym przez człowieka. Podniósł rękę z małą anteną i zaczął obracać nią w powietrzu. Zgrzyty i brzęczenie to przybierały na sile, to zanikały. Ale odbiornik został

przystosowany do odbioru konkretnej częstotliwości, był przez to bardziej czuły niż zwykły komunikator. Wychwycił w końcu trzy krótkie, trzy długie i znowu trzy krótkie sygnały. Trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki, i tak bez końca. SOS, SOS, SOS. Huygens zanotował koordynaty, potem przesunął antenę kierunkową, dokładnie zmierzył odległość i zapisał. Jeszcze kilka razy przesunął antenę, mierzył odległość i spisywał odczyty instrumentów. Kiedy skończył, sprawdził kierunek, z którego nadchodził sygnał, na podstawie głośności i fazy. W ten sposób, mając do dyspozycji jedynie prymitywne urządzenie, otrzymał w miarę dokładne namiary.

Sourdough zamruczał łagodnie. Sitka Pete wciągnął powietrze nozdrzami i wstał. Faro Nell strzeliła łapą Nuggeta i umieściła skomlącego malucha w najdalszym rogu małego płaskowyżu na szczycie wzgórza, na którym się zatrzymali. Stała ze zjeżoną sierścią i patrzyła w dół, skąd nadeszli.

Huygens zaklął. Wstał i zamachał ręką na Sempera, który odwrócił łeb w jego kierunku. Orzeł zaskrzeczał w sposób bardzo nieprzystający osobnikom jego gatunku, po czym wystartował ze

szczytu i odfrunął, walcząc z silnym prądem ściągającym. Kiedy Huygens wyciągnął broń, Semper już krążył nad ich głowami. Przepłynął dostojnie trzydzieści metrów nad ziemią.

Kołysał się i walczył ze zdradliwymi prądami. Krzyknął szorstko, zakreślił koło i znowu zaskrzeczał. Huygens włączył mały telewizorek przymocowany na pasku i obserwował obraz z minikamery Sempera. Ziemia na ekranie zataczała się i huśtała. Tak właśnie widział ją Semper, tyle że ptak obejmował wzrokiem znacznie większy obszar. Pomędzy chwiejącymi się drzewami przesuwały się jakieś obiekty. Ich ubarwienia nie można było z niczym pomylić.

- Sfeksy - powiedział Huygens chłodno. - Osiem sztuk. Nie myśl, że idą dokładnie naszym śladem, Roane. Suną równolegle, po obu stronach. W ten sposób atakują, kiedy już dogonią ofiarę: wszystkie razem, z obu stron. Posłuchaj mnie uważnie! - dodał. - Niedźwiedzie poradzą sobie z każdym sfeksem, którego dorwą. My musimy im pomóc. Celuj w korpus. Pociskami eksplodującymi.

Zdjął z broni zabezpieczenie. Faro Nell z głośnym warkotem ustawiła się pomiędzy Sitką i Sourdough

Charleyem. Wielki kodiak popatrzył na nią i parsknął, zupełnie jakby drwił sobie z mrozących krew w żyłach dźwięków, które wydawała samica. Sourdough zaburczał głośno, a potem oba samce odsunęły się od niedźwiedzicy na boki. Będą obstawiać skrzydła. Jedyne oznaki życia w tej okolicy stanowiły piski małych stworzonek, które na Loren Dwa były odpowiednikiem ptaków, niskie, wściekle powarkiwanie Faro Nell i trzask odbezpieczanej broni Roane'a.

Semper znowu krzyknął. Leciał tuż nad wierzchołkami drzew, podążając śladem dwubarwnych, przerażających postaci.

Osiem niebiesko-beżowych potworów wypadło z gęstej dżungli. Miały mnóstwo ostrych kolców na całym ciele, rogi i płonące ślepia. Wyglądały jak z piekła rodem. Atakowały, wydając przy tym ostre, skwierczące piski, które przypominały wzmocnione tysiąc razy miauczenie walczącego kocura. Szczęknęła strzelba Huygensa i zaraz potem rozległ się głośny wybuch pocisku, który wbił się w ciało jednego ze sfeksów. Niebiesko-beżowy potwór upadł, piszcząc z bólu. Rozwścieczona Faro Nell zaatakowała z furją.

Roane wystrzelił, ale trafił w drzewo. Sitka Pete uniósł się, klasnął masywnymi przednimi łapami i zginał kolejny sfeks. Roane wystrzelił ponownie. Sourdough Charley szczeknął krótko, przewrócił potwora i przeorał pazurami jego brzuch, który okazał się znacznie delikatniejszy niż reszta ciała. Sfeks odczołgał się, zawodząc z bólu. Jeden z drapieżników umknął z grupki kotłującej się wokół Sitki. Skoczył na niedźwiedzia od tyłu, ale Huygens zastrzelił go z zimną krwią. Dwa potwory skoczyły w kierunku Faro Nell. Jednego zabił Roane, drugim z furją zajęła się niedźwiedzica. Potem Sitka Pete wyprostował się na tylnych łapach, jakby chciał sfeksy strząsnąć z siebie. Podbiegł Sourdough, odciągnął jedną z bestii, zabił ją i wrócił po następną. Jeszcze dwa strzały i na polu bitwy nie pozostał żaden żywy sfeks.

Niedźwiedzie przerzucały między sobą ciała napastników. Sitka Pete warknął, podniósł głowę jednego z nich i strzaskał łapami. Potem zrobił to z następnym i następnym.

Na pobojuwisku wylądował Semper. W czasie walki latał nad walczącymi, krzyczał i trzepotał olbrzymimi skrzydłami. Huygens podchodził kolejno

do każdego niedźwiedzia i mówił coś do nich uspokajająco. Najwięcej czasu musiał poświęcić Faro Nell, która wylizywała Nuggeta z namiętną troskliwością i potwornie przy tym warczała.

- Ruszcie się! - zawołał Huygens, gdy Sitka Pete ułożył się do odpoczynku. - Zrzućcie te trupy ze skały. Dalej, Sitka! Sourdough! Hop!

Dyrygował dwoma samcami, które z niechęcią chwyciły trupy potworów, wlokły je na brzeg płaskiego wierzchołka skały i spychały w dolinę.

- Ich koleżkowie przybiegną tam, gdzie leżą trupy - tłumaczył Huygens. - Będą pomstować i oplakiwać martwych braci, ale nie znajdą żadnego tropu. Gdybyśmy byli bliżej rzeki, kazałbym niedźwiedziom wrzucić trupy do wody. Wtedy żałobnicy zgromadziliby się tam, gdzie prąd wyniosłby ciała na brzeg. Jeśli jakiś sfeks zginie w pobliżu stacji, spalę ciało. Jeśli muszę gdzieś zostawić truchło, zacieram ślady i zmywam się z miejsca jak najszybciej.

Otworzył pakunek przymocowany na grzbiecie Sourdough Charleya, wyciągnął szmaty i kilka litrów środka dezynfekującego. Po kolei zajął się wszystkimi niedźwiedziami. Opatrzył draśnięcia i rany, a także

porządnie nasaczył futro zwierząt w miejscach, gdzie widniały ślady krwi sfeksów.

- Ten antyseptyk przy okazji zabija zapach - wyjaśnił Roane'owi. - Inaczej sfeksy na pewno by nas zwietrzyły. Zanim wyruszymy, będę musiał wymyć niedźwiedziom łapy.

Roane obserwował to wszystko w milczeniu. W czasie walki spudłował za pierwszym razem. Wprawdzie strzelba z nabojami eksplodującymi miała większy odrzut niż laser, ale Roane był coraz bardziej na siebie wściekły. Pod koniec walki mierzył już bardzo starannie i ani razu nie spudłował, ale ta świadomość nie polepszyła jego samopoczucia.

- Uczysz mnie, co mam robić, jeśli zginiesz? Nie wiem, czy warto - powiedział z goryczą.

Huygens sięgnął do plecaka i wyciągnął powiększone zdjęcia satelitarne. Starannie naniósł na jedno punkty orientacyjne i narysował poprzeczną linię.

- Sygnał SOS pochodzi z miejsca w pobliżu kolonii robotów - rzekł. - Myślę, że to gdzieś na południe od bazy. Zapewne jest nadawany z kopalni, którą otworzyli w pewnej odległości od... och,

oczywiście, od Martwej Równiny. Widzisz, jak oznakowałem mapę? Dwa wskaźniki, jeden ustalony w stacji, drugi tutaj. Specjalnie zszedłem z kursu, żeby złapać te namiary. Dzięki temu mamy dwie linie zbiegające się w punkcie nadawania. Sygnał mógł być generowany po drugiej stronie planety. Dopiero teraz zyskałem pewność, że pochodzi stąd.

- Ale przecież szansa na to, że sygnał nadają jacyś inni rozbitkowie, była od samego początku dość nikła - zaprotestował Roane.

- Niekoniecznie - odparł Huygens. - W kolonii robotów pojawiały się statki. Jeden z nich mógł się rozbić. Poza tym ja też mam przyjaciół, którzy mnie czasem odwiedzają.

Zapakował do plecaka przenośne urządzenie pomiarowe. Skinął na niedźwiedzie, wyprowadził je poza granice pola walki i starannie oczyścił im łapy środkiem dezynfekującym, aby nie zostawiły za sobą śladu krwi sfeksów. Pomachał na Sempera, który krążył w górze.

- Idziemy - rozkazał kodiakom. - Naprzód!

Zeszli ze skały i znowu zanurzyli się w dżunglę. Pochód prowadził teraz Sourdough, a Sitka Pete

krażył tuż za nim. Faro Nell razem z Nuggetem tradycyjnie podążali za mężczyznami. Niedźwiedzica bardzo pilnie strzegła małego. Oczywiście przy okazji pilnowała, czy nic nie zachodzi grupy od tyłu. Nad głowami pochodu Semper zakreślał wielkie koła i spirale, lecz nigdy nie oddalał się zbyt od grupy. Huygens wpatrywał się nieustannie w mały ekranik, który przekazywał obraz z kamery orła. Widoczny na monitorze krajobraz trząsł się i zataczał kręgi, huśtał się i przechylał. Z pewnością nie był to idealny zwiad powietrzny, ale przynajmniej działał.

- Tutaj skręcimy w prawo - rzekł Huygens. - Droga przed nami jest prawie nie do przejścia, a poza tym wygląda na to, że przed nami pożywia się banda sfeksów, które właśnie skończyły polowanie.

Roane wciąż był zły na siebie i zdenerwowany.

- To nielogiczne. Drapieżników nie powinno być aż tak dużo, jak mówisz - powiedział z rozdrażnieniem.

- Wszystko musi być w równowadze: na jednego mięsożercę przypada określona liczba roślinożerców. Jeśli pojawia się zbyt wiele drapieżników, wkrótce zjadają wszystkie inne zwierzęta, a potem zdychają z głodu!

- Nie ma ich tutaj przez całą zimę - wyjaśnił Huygens. - A ta pora roku nie jest na Loren Dwa tak sroga, jak myślisz. Większość zwierząt rozmnaża się chyba dopiero wtedy, gdy odejdą sfeksy. Poza tym potwory nie grasują tu przez cały czas. Pojawiają się nagle, ale czasem możesz nie spotkać ani jednego przez wiele tygodni, zanim znowu zaczną się od nich roić. Przed zimą, tak jak teraz, migrują na południe. Kto wie, może to zwierzęta wędrowne? Nie było tu zbyt wielu wielbicieli przyrody - dodał oschle. - Fauna Loren Dwa jest nieprzyjazna dla ludzi.

Roane wciąż rozważał trudny problem. Był starszym oficerem Misji Kolonialnej. Miał przybyć do częściowo lub już całkowicie wykończonej osady na tej planecie i sporządzić raport o postępach w jej budowie i rozwoju. Zamiast tego znalazł się w skrajnie nieprzyjaznym otoczeniu, a jego los leżał w rękach nielegalnego osadnika. Co więcej, brał udział w podejrzanym przedsięwzięciu, którego zakończenie trudno przewidzieć - urządzenie wysyłające sygnał, który odebrał Huygens, mogło przecież działać długi czas po tym, jak zginęli jego konstruktorzy. Większość dotychczasowej ideologii Roane'a chwiała się w

posadach. Zawdzięczał życie trzem gigantycznym niedźwiedzom Kodiaka i łysemu orłowi. Bez tych zwierząt on i Huygens zginęliby nawet wtedy, gdyby mieli do dyspozycji tysiąc robotów. Sfeksy i maszyny zignorowałyby się nawzajem, a oni mieliby tylko cztery sekundy na zarejestrowanie faktu, że zostali zaatakowani, przygotowanie się do obrony i wreszcie zabicie ośmiu sfeksów.

Wszystkie przekonania Roane'a, jako cywilizowanego człowieka, legły w gruzach. Roboty były wspaniałymi urządzeniami, które robiły to, czego od nich oczekiwano, realizowały plany i starały się sprostać ludzkim wymaganiom. Miały jednak podstawową wadę, ponieważ potrafiły jedynie wypełniać instrukcje: jeśli stanie się to, zrób tamto, jeśli stanie się coś innego, zrób odwrotnie. A przede wszystkim były bezbronne. „Cywilizacja” maszyn mogła pracować wyłącznie w dobrze poznanym i zdefiniowanym środowisku, w którym nigdy nie zdarza się nic zaskakującego i ludzie z nadzoru nie żądają rzeczy niespodziewanych. Roane był zbulwersowany. Nigdy w swojej karierze, nigdy w życiu nie doświadczył sytuacji tak absolutnie nieprzewidywalnej.

Spojrzał na Nuggeta, który zwiesił smutno uszy. Roane'owi przyszło do głowy, że Nugget dostaje mnóstwo bolesnych upomnień od swojej matki. Mały był poniewierany fizycznie, tak jak on psychicznie. W tej właśnie chwili Roane doświadczał boleśnie swojej niewiedzy i nieprzystosowania do samodzielnego życia.

- Hej, Nugget - powiedział Roane ze smutkiem. - Czuję się tak samo jak ty.

Niedźwiadek wyraźnie pojaśniał. Bryknął radośnie - chyba lubił sobie pohasać. Był tylko małym niedźwiadkiem, mimo że mierzył ponad metr w kłębie i gdyby stanął na tylnych łapach, przewyższyłby człowieka. Roane wyciągnął rękę i poklepał Nuggeta po głowie. Pierwszy raz w życiu pogłaskał jakieś zwierzę. Za sobą usłyszał sapnięcie, od którego zjeżyły mu się włosy na karku. Odwrócił się. Spoglądało na niego dziewięćset kilo żywej wagi. Niedźwiedzica stała blisko, nie dalej niż trzy kroki. Roane oblał się zimnym potem, ale zaraz dostrzegł, że oczy Faro Nell nie płoną z wściekłości. Niedźwiedzica nie warczała ani nie wydawała żadnych złowrogich dźwięków, takich jak w czasie walki na skale, kiedy zareagowała furją na zagrożenie życia jej dziecka. Spoglądała na Roane'a

bez wyrazu, a po chwili zajęła się czymś zupełnie innym, co akurat przyciągnęło jej uwagę.

Wędrowali dalej. Nugget szalał za plecami Roane'a i co chwila niezgrabnie na niego wpadał. Spoglądał na człowieka z uwielbieniem - z bezgranicznym, ogromnym uczuciem charakterystycznym dla młodych zwierzątek. Faro Nell szła szerokim zygzakiem. Była bardzo zadowolona, że Nuggetem opiekuje się człowiek - syn potrafił wyprowadzić ją z równowagi.

- Huygens! - zawołał Roane. - Spójrz tylko! Zostałem niańką Nuggeta! Huygens obejrzał się za siebie.

- Daj mu parę klapsów i wróci do matki - powiedział.

- Nie ma mowy! Podoba mi się ta rola.

Szli dalej, dopiero kiedy zapadł zmrok, rozbili obóz. Oczywiście nie było mowy o rozpaleniu ogniska, ponieważ zaraz zaroiłoby się od małych latających stworzonek, które ciągnęły do ognia niczym ziemskie ćmy. Nie mogli jednak siedzieć w absolutnej ciemności, gdyż wtedy zapewne padliby ofiarą nocnych włóczędów. Huygens rozstawił lampy,

tworząc wokół obozu ścianę światła. Potem przygotował posiłek z mięsa rogatego zwierzęcia, które dźwigała Faro Nell. Po kolacji położyli się spać. Kodiaki przysypiały, budziły się i znów zapadały w krótką drzemkę. Semper trwał nieruchomo na gałęzi jednego z drzew, z głową ukrytą pod skrzydłem. W pewnym momencie w dżungli zapadła na moment cudowna cisza i świat rozjaśnił się w promieniach porannego słońca. Pomaszerowali dalej.

Tego dnia musieli stać bez ruchu ponad dwie godziny, podczas gdy stado sfeksów zastanawiało się nad śladem pozostawionym przez niedźwiedzie. Huygens cierpliwie rozprawiał o konieczności dezynfekowania łap niedźwiedzi oraz butów środkiem pochłaniającym zapach. Roane wymyślił, że można by wyprodukować środek odstraszający sfeksy, taki antysfeksowy dezodorant. Wtedy mogliby spokojnie przechodzić obok drapieżników, bez groźby ataku z ich strony.

- Coś w rodzaju odstraszacza śmierdzącego pluskwami - skomentował Huygens sardonicznie. - Świetny pomysł! Powinieneś być dumny z siebie.

W jednej chwili zadowolenie Roane'a zniknęło jak sen złoty.

Wieczorem znowu rozbili obóz. Trzecią noc spędzili na granicy Martwej Równiny. Z daleka wyglądała jak łańcuch górski, ale tak naprawdę była pustynnym płaskowyżem. To, że na takiej wysokości pojawiła się pustynia, podczas gdy na nizinach występowały opady, było nielogiczne. Jednak o poranku przekonali się, dlaczego tak jest. W oddali, na drugim krańcu płaskowyżu dostrzegli monstrualną górę. Wyglądała jak dziób gigantycznego statku. Wyrastała dokładnie na linii wiatrów i rozcinała je niczym statek prujący fale. Wilgotne prądy powietrzne omijały wyżynę, dlatego cały ten obszar, nieosłonięty przed górkim słońcem, stał się w końcu pustynią.

Pół dnia zajęło im dotarcie do połowy zbocza. Podczas wspinaczki Semper dwukrotnie ostrzegał przed sfeksami, które pojawiały się raz po jednej, raz po drugiej stronie. Były to znacznie większe grupy, niż Huygens kiedykolwiek widział. Liczyły od pięćdziesięciu do stu osobników, podczas gdy zwykle polujące bandy składały się najwyżej z dziesięciu. Patrzył na ekran i obserwował, co zarejestrowała

kamera Sempera. Sfeksy wspinały się na Martwą Równinę. Po kolei w polu widzenia pojawiło się pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt niebiesko-beżowych diabłów.

- Wolałbym, żeby ta banda na nas nie wpadła - powiedział do Roane ze szczerością w głosie. - Nie mielibyśmy żadnych szans.

- Przydałby się w takim momencie zmechanizowany czołg - stwierdził Roane.

- Wszystko, co jest opancerzone - przyznał Huygens. - Jeden człowiek w ufortyfikowanej stacji, jak moja, byłby bezpieczny. Jednak gdyby zabił sfeksa, znalazłby się pod oblężeniem. Wdychałby odór martwego potwora, dopóki zapach sam by nie zniknął. Oczywiście nie mógłby zabić żadnego sfeksa więcej, inaczej oblężenie trwałoby do zimy.

Roane nie próbował dyskutować o zaletach robotów. W tym momencie na przykład wspinali się po zboczu nachylnym pod kątem pięćdziesięciu stopni. Niedźwiedzie szły bez wysiłku, pomimo obciążenia, dla ludzi jednak wspinaczka była mordęgą. Krążący w górze Semper okazywał niecierpliwość. Dla niego zarówno niedźwiedzie, jak i ludzie szli zbyt wolno.

Wzbił się wysoko w powietrze i balansował ponad skrajem płaskowyżu, miotany przez wiatr. Huygens spojrzął na ekranik. Zatrzymali się właśnie, żeby złapać oddech.

- Jak, do cholery, udało ci się wytresować niedźwiedzie? - wydyszał Roane. - Mogę zrozumieć, że wyszkoliłeś Sempera, ale one...

- Nie tresowałem ich - odpowiedział Huygens, patrząc w ekran. - To mutanty. Doprowadzenie do dziedziczenia cech fizycznych to nic nadzwyczajnego. W pewnym momencie jednak ktoś zmodyfikował geny odpowiedzialne za psychikę i zrobił naprawdę dobrą robotę. Na mojej rodzinnej planecie niezmiernie przydatne było zwierzę, które walczy jak potwór, umie się samo wyżywić, może dźwigać ciężary i potrafi być w dobrych stosunkach z człowiekiem, tak jak pies. Dawno temu ludzie próbowali wyselekcjonować pożądane cechy fizyczne u zwierząt, które miały odpowiednią psychikę. Chcieli stworzyć coś w rodzaju gigantycznego psa bojowego. Ale potem zmienili podejście. Wybrali gatunek o właściwych walorach fizycznych i zaczęli selekcjonować zwierzęta pod względem odpowiedniej psychiki. Ponad sto lat temu

odnieśli ostateczny sukces: narodził się niedźwiedź Kodiaka, nazwany Kodiusem Championem. Był absolutnie idealny. Te niedźwiedzie to jego potomkowie.

- Wyglądają całkiem normalnie - stwierdził Roane.

- Ależ są normalne! - odparł ciepło Huygens. - Są tak samo normalne jak każdy zdrowy pies. Sempera szkole, ale one same się uczą! - Spojrzał znowu na ekran, na którym widać było z boku dwa tysiące metrów powyżej miejsca, w którym odpoczywali. - Semper to wyszkolony ptak o niewielkiej inteligencji. Jest po prostu wytresowany. Ale niedźwiedzie chcą żyć w dobrych stosunkach z ludźmi, zupełnie jak psy. Semper to sługa, a kodiaki to nasi towarzysze i przyjaciele. Orzeł jest wyszkolony, niedźwiedzie są lojalne. On jest uwarunkowany, one nas kochają. Semper by mnie porzucił, gdyby tylko wpadło mu do głowy, że mógłby to zrobić. Teraz myśli, że nie może jeść niczego poza tym, co dają mu ludzie. Niedźwiedzie nigdy nie będą chciały odejść. Lubią nas i jeśli chodzi o mnie, z wzajemnością. Może dlatego że one najpierw obdarzyły mnie uczuciem?

- Czy nie gadasz przypadkiem zbyt dużo, Huygens? - zapytał ostrożnie Roane. - Jestem oficerem Misji Kolonialnej. Wcześniej czy później będę cię musiał aresztować. Wyjawiasz fakty pozwalające zlokalizować i skazać ludzi, którzy cię tu umieścili. Chyba nie będzie trudno znaleźć miejsce, gdzie hodują potomków niedźwiedzia o imieniu Kodius Champion. Nawet teraz mogę się dowiedzieć, skąd pochodzisz!

Huygens zerknął sponad ekranu, na którym widniał chwiejący się obraz przekazywany przez kamerę Sempera.

- Nic się nie stanie - powiedział przyjaźnie. - Jestem przestępcą. Oficjalna wersja jest taka, że porwałem niedźwiedzie i uciekłem z nimi. Na mojej ojczystej planecie to najohydniejsza zbrodnia, jaką może popełnić człowiek. Gorsza niż kradzież koni na Ziemi w dawnych czasach. Krewni moich niedźwiedzi otaczani są troskliwą opieką. Tak więc w domu także jestem kryminalistą.

- Ukradłeś te niedźwiedzie?

- Nie - odparł Huygens. - Ale tego mi nie udowodnisz. Chodź, lepiej spójrz na ekran. Zobacz, co Semper widzi z góry, za krańcem równiny.

Orzeł kreślił w powietrzu wielkie łuki i linie proste, bez przerwy krzycząc z zaciekłością. Rzucił się w kierunku granicy płaskowyżu. Roane spojrział na przekaz z kamery. Ekran mierzył tylko dziesięć na piętnaście centymetrów, ale miał wysoką rozdzielczość, tak że obraz był kolorowy i bardzo wyraźny. Huśtał się i kręcił zgodnie z ruchami Sempera. Przez moment na ekranie pojawiło się stepowe zbocze góry. Grupka ludzi i niedźwiedzi wyglądała z daleka jak poruszające się punkciki.

Potem obraz przesunął się i ujrzeli płaskowyż, a na nim sfeksy. Stado złożone z około dwustu osobników szybkim truchtem zbliżało się do środka równiny. Kamera przesunęła się znowu i zobaczyli jeszcze więcej drapieżników. Semper wzbił się wyżej. Mogli teraz dostrzec inne sfeksy wyłaniające się z malej rozpadliny, która powstała w wyniku erozji krawędzi płaskowyżu. Martwa Równina po prostu roiała się od tych niebiesko-beżowych stworzeń, choć w tej okolicy nie było raczej zwierząt, na które mogłyby polować. Wyglądały jak wielkie stada bydła na planetach pastewnych. Wydawało się to po prostu niemożliwe.

- Migrują - powiedział Huygens. - Mówiłem, że migrują! Ich wędrówka ma jakiś cel. Chyba nie powinniśmy próbować przejść przez równinę wśród takiego tłumu sfeksów.

Roane przeklął.

- Ale wciąż odbieramy sygnał - rzekł. - Zatem ktoś jeszcze przetrwał w kolonii robotów! Czy musimy czekać, aż stado przewędruje?

- Nie wiemy, czy tamci wciąż jeszcze żyją - odparł Huygens. - Może rozpaczliwie potrzebują pomocy, ale z drugiej strony...

Huygens spojrział na niedźwiedzie, które przycupnęły na zboczu i cierpliwie czekały, aż ludzie wypoczną i skończą rozmowę. Sitce udało się nawet znaleźć miejsce do siedzenia, chociaż jedną z masywnych łap musiał zaklinować między skałami. Huygens machnął ręką i wskazał nowy kierunek marszu.

- Idziemy! - zawołał energicznie. - Idziemy! Naprzód! Hop!

4

Podróżowali wąwozami Martwej Równiny. Nie wspinali się jednak na płaskowyż, którym wędrowały

sfeksy, ani też nie schodzili na dół, gdzie u podnóży masywu skupiały się stada drapieżców. Sunęli po stokach nachylonych pod kątem czterdziestu, a nawet sześćdziesięciu stopni i prawie już zapomnieli, jak się chodzi po płaskim gruncie. Tego dnia nie uszli daleko. Semper przez cały dzień wisiał nad ich głowami. Wieczorem sfrunął na kolację, którą taszczył dla niego jeden z samców.

- Kodiaki muszą sporo jeść - stwierdził Huygens.
- Tonę niedźwiedziny trzeba dobrze podkarmić. Ale przy ludziach trzyma ich lojalność. Semper jest na to za głupi. Został uwarunkowany i myśli, że jedzenie mogą mu dać tylko ludzie. Niedźwiedzie dobrze wiedzą, jak jest naprawdę, lecz trzymają się nas mimo wszystko. Dlatego zdecydowanie je lubię.

Rozbili właśnie obóz na szczycie masywnego głazu, który wystawał z kamiennej ściany zbocza. Minęło już sześć dni od czasu rozpoczęcia wyprawy. Głaz był ogromny, ale mimo to ledwie starczyło na nim miejsca dla całej kompanii. W dodatku Faro Nell grymasiła i domagała się, żeby umieścić Nuggeta w najbezpieczniejszym miejscu, czyli najbliżej stoku. Wypchnęłaby w końcu ludzi z tego miejsca, ale mały

płakał za Roane'em. Kiedy Roane się nim zajął, Faro Nell z zadowoleniem się wycofała. Fuknęła na Sitkę i Sourdough Charleya. Oba samce przesunęły się i zrobiły dla niej miejsce na skraju obozu.

Wszyscy byli głodni. Podczas wędrówki co jakiś czas natykali się na małe strumyczki, które ściekały z gór. Wtedy niedźwiedzie długo piły, a ludzie napełniali bukłaki. Od trzech dni jednak nie widzieli żadnej zwierzyny.

- Wydawałoby się, że skoro sfeksy nie polują podczas pielgrzymki na równinę, powinny tu być jakieś inne zwierzęta - powiedział Roane płaczącym tonem. - Drapieżcy nie zwracają na nic uwagi, tylko pną się pod górę.

Było w tym dużo racji. Polujące bandy sfeksów szły ławą, ramię przy ramieniu. Osaczały ofiarę, która starała się uciec, i oskrzydlały zwierzę, które próbowało walczyć. Tutaj jednak wspinały się na płaskowyż jeden za drugim, długimi sznurami. Najwyraźniej podążały starym szlakiem. Wiatr wiał wzdłuż kanionów i niósł ze sobą zapachy, ale sfeksy nie zwracały z wybranej ścieżki. Długie procesje niebiesko-beżowych szkaradzieństw - trudno było

myśleć inaczej o tych składających jaja potworach - niestrudzenie wspinały się na Martwą Równinę.

- Musiało tu przybyć tysiące bestii - powiedział Huygens. - Ciągną na płaskowyż całymi dniami, a nawet tygodniami. Kamera Sempera pokazała, że jest ich bez liku. Sfeksy, które nadciągnęły pierwsze, pożarły wszystko, co w okolicy nadawało się do zjedzenia. Te, które przybywają ostatnie, najwyraźniej radzą sobie jakoś inaczej.

- Ale takie zagęszczenie drapieżników w jednym miejscu jest po prostu nierealne! - zaprotestował Roane. - To znaczy wiem, że one tu są, ale to przecież niemożliwe!

- Są zmiennocieplne - stwierdził Huygens. - Nie muszą spalać pokarmu, aby utrzymać stałą temperaturę ciała. Poza tym wiele zwierząt potrafi bardzo długo przeżyć bez jedzenia. Niedźwiedzie na przykład zasypiają. Tylko że sfeksy nie zapadają w sen zimowy... ani w letni.

Próbował w ciemnościach ustawić odbiornik fal radiowych, chociaż nadajnik znajdował się po drugiej stronie Martwej Równiny, która z niewyjaśnionych przyczyn roiała się od śmiertelnie niebezpiecznych,

najbardziej drapieżnych stworzeń na Loren Dwa. Próba przejścia przez płaskowyż teraz byłaby równoznaczna z samobójstwem. Rozległ się szum, trzeszczące dźwięki tła, a potem sygnał. Trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki. Trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki, i tak od nowa. Huygens wyłączył aparat.

- Może powinniśmy odpowiedzieć na sygnał, zanim wyruszyliśmy ze stacji? - zapytał Roane. - Żeby choć dodać im odwagi.

- Nie sądzę, żeby mieli odbiornik - odparł Huygens. - Poza tym i tak nie spodziewają się odpowiedzi. Trudno byłoby nasłuchiwać przez cały czas. A jeśli koczują w tunelu, niekiedy próbują się wymknąć po jedzenie. Pewnie są zbyt zajęci, żeby tracić czas na konstruowanie skomplikowanych rejestratorów albo przekaźników.

Roane milczał przez chwilę.

- Musimy zdobyć jedzenie dla niedźwiedzi - rzeki nagle. - Nugget już nie ssie mleka, a jest głodny.

- Cierpliwości. Wydaje mi się, że dzisiaj przybyło na równinę mniej sfeksów niż wczoraj czy przedwczoraj. Już prawie minęliśmy trasę migracji, bo jest ich oraz mniej. Kiedy zejdziemy ze szlaku

wędrówki sfeksów, znowu będziemy musieli uważać na nocnych włóczęgów. Chociaż myślę, że sfeksy pożarły wszystko, co znalazło się na ich drodze.

Nie miał racji. W nocy obudziły ich klaśnięcia i powarkiwanie niedźwiedzi. Huygens włączył latarkę i świat nagle okrył się rzadką białawą mgiełką. Coś plasnęło, a potem mgła się rozrzedziła. Huygens zobaczył gwiazdy na nocnym niebie. Przez chwilę na skraju obozu nie było nikogo i nagle pojawiły się wielkie białe istoty. Sitka Pete szczechnął groźnie, klasnął łapami. Faro Nell warknęła i zakołysała się. Trzymała coś w pazurach. Latarka zgasła.

- Nie strzelaj, Roane! - powiedział Huygens. Usłyszał odgłosy, jakie wydaje posilające się zwierzę. Dźwięki urwały się nagle. - Popatrz na to! - dodał.

Znowu zapalił latarkę. Zobaczyli stworzenie, które miało dziwne kształty i było blade jak ludzka skóra. Nadlatywało z furkotem w ich kierunku, a za nim następne... cztery, pięć... dziesięć... dwadzieścia... coraz więcej... W promieniu światła latarki pojawiła się wielka kudłata łapa i zagarnęła skrzydlatego stwora. Następna łapa chwyciła kolejne dziwne latające zwierzę. Huygens przesunął latarkę. Wielkie

kodiaki stały na tylnych łapach i klaśnięciami zabijały blade istoty, które wyraźnie nie mogły się oprzeć fascynacji światłem latarki. Wirowały w powietrzu jak szalone, trudno było je dokładnie obejrzeć. Okazało się, że obóz nawiedziły niezbyt sympatyczne nocne stworzenia, które przypominały z wyglądu oskubane latające małpy.

Niedźwiedzie przestały warczeć, klaskały tylko zawzięcie łapami. Wokół nich rosły kopczyki zabitych stworów. Po chwili w pobliżu nie było już żadnych latających nagich małp. Huygens wyłączył latarkę. Niedźwiedzie łapczywie posilały się w ciemności.

- To drapieżniki, Roane - tłumaczył Huygens spokojnie. - Podobnie jak nietoperze wampiry wysysają krew. Robią to tak delikatnie, że nie budzą ofiar. A kiedy już napadnięte zwierzę umiera z upływu krwi, pożywia się nim całe plemię małpostworów. Niedźwiedzie mają gęste futro, poza tym śpią bardzo czujnie, więc żaden wampir nie jest dla nich groźny. Na dodatek są wszystkożerne, to ich niewątpliwa zaleta. Nie jedzą tylko sfeksów, jak już mówiłem. Cóż, zdaje się, że te nocne stworzenia przyszły na kolację, tymczasem stały się posiłkiem dla niedźwiedzi.

Mówiłem ci, że moi przyjaciele potrafią się wyżywić sami.

Nagle Roane wydał cichy okrzyk. Zapalił latarkę i zobaczył, że jego ręka krwawi. Huygens wyciągnął z kieszeni zestaw do odkażania oraz bandażę. Roane zatamował krwawienie. Usłyszał, że Nugget coś przeżuwa. Kiedy znowu zapalił latarkę, okazało się, że niedźwiadek złapał i pożarł jednego z małpokszałtnych wampirów, który właśnie zamierzał upuścić z Roane trochę krwi.

Następnego dnia rano podjęli mozolną wędrówkę po zboczu. Szli już jakiś czas, gdy Roane stwierdził z boleścią:

- Roboty nie poradziłyby sobie z tymi małpostworami, prawda?

- Och, pewnie można by skonstruować specjalne roboty, które by nas chroniły - powiedział Huygens. - Ale koniec końców, musiałbyś wampiry sam zabijać. Ja wolę niedźwiedzie.

Szli dalej w nieco innym szyku, niż kiedy przedzierali się przez dżungłę. Niedźwiedzie poruszały się swobodnie po suchym zboczu. Twarde poduszki łap pozwalały im wygodnie kroczyć po pochyłości.

Jednak dla ludzi wędrówka była udawką. Dwukrotnie Huygens zatrzymywał pochód i obserwował przez lornetkę, co się dzieje u podnóża masywu. Za każdym razem wydawał się bardziej zadowolony. Olbrzymi szczyt, który wylaniał się na końcu Martwej Równiny niczym dziób statku, był coraz bliżej. W południe Huygens zarządził postój.

- W dole nie ma już sfeksów - oświadczył pogodnie. - Przez ostatnie parę godzin nie widziałem też żadnych drapieźników wspinających się na płaskowyż. Mam przeczucie, że już przekroczyliśmy trasę ich migracji. - Przekraczanie szlaku migracji oznaczało czekanie, aż przeciągnie jedna grupa drapieźników, a potem szybkie przecięcie szlaku, zanim pojawi się następna. - Zobaczmy, co nam pokaże Semper.

Machnął na orła i kazał mu fruwać w powietrze. Dla Sempera, jak dla wielu stworzeń, najważniejszą sprawą było zaspokojenie głodu. Najedzony ptak zwykle lenił się albo po prostu spał. Ostatnie parę godzin podróżował na grzbiecie Sitki. Teraz wzbił się w górę, a Huygens wpatrzył się w ekranik, który pokazywał chwiejący się i kołyszący obraz z kamery.

Ptaka wznosił się coraz wyżej i już po chwili wleciał ponad skraj równiny. Płaskowyż był w tym miejscu nieco pofałdowany i pokryty kępami roślinności, gdzieś nawet widoczne były niewysokie krzewy. Jednak kiedy Semper wzbił się wyżej, na ekranie pojawiła się znowu pustynia. W zasięgu wzroku nie było sfeksów. Tylko raz, kiedy orzeł przechylił się ostro w locie i kamera pokazała środek płaskowyżu, Huygens dostrzegł niebiesko-beżowe bestie. Wyglądało, jakby sfeksy utworzyły wielkie stado, chociaż ta myśl była niedorzeczna - drapieżniki nie zachowują się przecież jak bydło czy owce.

- Wejdziemy na Martwą Równinę w tym miejscu - powiedział Huygens z zadowoleniem. - Przetniemy ją i może uda się nam przez jakiś czas iść po zawietrznej. Myślę, że znajdziemy coś interesującego, zanim dotrzemy do twojej kolonii robotów, Roane.

Machnął na niedźwiedzie i zaczął wspinać się po zboczu.

Parę godzin później, tuż przed zmierzchem dotarli na płaskowyż, a tam zobaczyli zwierzęta. Nie było ich dużo - kilka sztuk pasło się na zielonym

obrzeżu pustyni. Huygens ustrzelił kudłatego przeżuwacza, który na pustyni by z pewnością nie przeżył. Powietrze na tej wysokości było rozrzedzone i zrobiło się znacznie zimniej. Roane zrozumiał, że zza parawanu góry w kształcie statku nie nadciągały żadne chmury. Ziemia oddawała ciepło niejako w pustą przestrzeń, dlatego nocami panował tu niemal mróz.

- A w dzień jest gorąco - zgodził się Huygens, gdy Roane podzielił się z nim swoimi spostrzeżeniami. - Na takiej wysokości, kiedy powietrze jest rozrzedzone, słońce grzeje niemiłosiernie. Zwykle w górach wieje wiatr, ale nie tu. Przez cały dzień Martwa Równina nagrzewa się jak powierzchnia planety, na której nie ma atmosfery. W południe temperatura piasku może osiągać nawet siedemdziesiąt stopni Celsjusza, ale w nocy jest bardzo zimno.

Rzeczywiście było. Przed północą Huygensowi udało się rozpalić ognisko. Tym razem z powodu niskiej temperatury nie musieli się obawiać ataku nocnych włóczęgów. Kiedy rankiem wstało słońce, obaj byli sztywni z zimna. Niedźwiedzie natomiast rozruszały się bardzo szybko - widocznie nocny chłód

nie zrobił na nich wielkiego wrażenia. Sitka Pete i Sourdough Charley mieli dobre humory. Oba samce zaczęły walkę na niby. Rzucały się na siebie i uderzały łapami. Chociaż wyraźnie markowały ciosy, siła ich uderzeń i tak mogłaby zmiażdżyć czaszkę człowieka. Nugget kibicował starszym niedźwiedziom i kichał z podekscytowania, natomiast Faro Nell patrzyła na nie z wyraźną, jakby kobiecą pogardą.

W końcu wszyscy ruszyli w drogę. Semper był bardzo ospały. Po krótkim locie wylądował na grzbiecie Sitki. Usadowił się wygodnie na pakunku, który niósł niedźwiedź, przybrał wyniosłą pozę i obserwował, jak krajobraz powoli zmienia się w pustynny. Najwyraźniej nie zamierzał tego dnia robić użytku ze swych skrzydeł. Szybujące ptaki nie lubią latać w bezwietrzną pogodę, kiedy w powietrzu nie ma prądów, które można wykorzystać do wzbijania się w górę. W czasie drogi Huygens na powiększonej fotografii zrobionej z kosmosu co rusz pokazywał Roane'owi, gdzie się znajdują i skąd pochodzi sygnał SOS.

- Robisz to na wypadek, gdyby coś ci się stało, tak? - zapytał Roane. - Przyznaję, że to rozsądne, ale

sam chyba nie zdołam pomóc ludziom, którzy przetrwali w stacji.

- Wiesz już sporo o sfeksach, to jedno - odparł Huygens. - Poza tym będziesz miał niedźwiedzie. Zostawiłem też wiadomość w bazie. Radiolatarnia znowu działa i ktokolwiek wyląduje obok mojego gniazdka, znajdzie instrukcje, jak dotrzeć do miejsca, do którego teraz zdążamy.

Zostawili za sobą wąski pas zieleni i przedzierali się przez drobny piach pustyni.

- Chciałbym, żebyś mi coś wyjaśnił - stwierdził Roane. - Powiedziałeś, że na swojej rodzinnej planecie figurujesz jako porywacz niedźwiedzi, ale jest to kłamstwo mające na celu ochronę twoich przyjaciół przed oskarżeniem Misji Kolonialnej. Jesteś tu sam i cały czas ryzykujesz życie. Podjąłeś kolejne ryzyko i nie zastrzeżyłeś mnie, kiedy tu przybyłem. Teraz ryzykujesz jeszcze bardziej, próbując udzielić pomocy ludziom, którzy będą świadczyli przeciwko tobie. Dlaczego to robisz?

Huygens uśmiechnął się.

- Ponieważ nie lubię robotów. Nie podoba mi się, że automaty w gruncie rzeczy ujarzmiają ludzi i czynią ich swoimi podwładnymi.

- Mów dalej - nalegał Roane. - Nie rozumiem, w jaki sposób niechęć do robotów miałyby cię zepchnąć na drogę przestępstwa. Ani też tego, że stałeś się kryminalistą z powodu ludzi, którzy na własne życzenie podporządkowują się robotom.

- Ale to właśnie był powód - powiedział Huygens.
- Może jestem nawiedzony, lecz na tej planecie wreszcie żyję jak człowiek. Chodzę tam, gdzie chcę, i robię to, co lubię. Moi pomocnicy, niedźwiedzie, są dla mnie jak przyjaciele. Jeśli udałoby się tu zbudować kolonię robotów, czy zamieszkujący ją ludzie żyliby jak ludzie? Wątpię! Żyliby tak, jak to ustaliły roboty. Nie mogliby wychodzić poza ogrodzenie, które zbudowały maszyny, jedliby tylko to, co potrafiłyby wyhodować automaty. Człowiek nie mógłby nawet przestawić łóżka w pobliże okna, gdyż zakłóciłby pracę robotom domowym. Tak, maszyny służyłyby ludziom, zgodnie z tym, jak zostały zaprogramowane, ale w gruncie rzeczy to ludzie by im służyli.

Roane potrząsnął głową.

- Skoro ludzie decydują się na korzystanie z robotów, muszą wybierać spośród asortymentu usług, które maszyna jest w stanie wykonać. Jeżeli ci to nie odpowiada...

- Chcę sam decydować o swoich potrzebach - przerwał spokojnie Huygens. - I na pewno nie chcę być ograniczany wyborem usług, które oferuje mi oprogramowanie robota. Na mojej ojczystej planecie z pomocą psów i broni prawie okiełznaliśmy przyrodę. Potem wyhodowaliśmy niedźwiedzie i one pomogły nam dokończyć dzieła. Teraz nasza populacja się zwiększa. Robi się coraz mniej miejsca dla psów, niedźwiedzi i oczywiście dla ludzi. Moi ziomkowie coraz rzadziej mogą podejmować własne decyzje. Wolno im tylko wybierać spośród tego, co oferują maszyny. Im bardziej ludzie zależą od robotów, tym bardziej jest ograniczany ich wolny wybór. Nie chcemy, żeby nasze dzieci pragnęły wyłącznie tego, co mogą zapewnić im roboty! Nie chcemy, żeby uzależniły się od tego, co dają lub czego nie dają im roboty! Chcemy, żeby wyrosli na kobiety i mężczyzn, a nie jakieś cholerne automaty, których istotą życia stało się naciskanie guzików na pilocie sterującym

robotami. Jeśli powiesz mi, że takie życie nie jest podporządkowaniem się maszynom, to...

- Przemawiają przez ciebie emocje -
zaprotestował Roane. - Nie wszyscy odbierają to w ten sposób.

- Ale ja tak właśnie czuję. Podobnie jak wielu moich rodaków. To wielka galaktyka i kryje w sobie mnóstwo niespodzianek. Co do robotów i uzależnionych od nich ludzi, jedno jest pewne: ani jedni, ani drudzy nie potrafią się zmierzyć z niespodziewanymi zdarzeniami. Przyjdzie czas, kiedy będziemy potrzebować ludzi, którzy potrafią myśleć za siebie. Grupa moich znajomych poprosiła o pozwolenie kolonizacji Loren Dwa. Misja nie wyraziła zgody, gdyż uznała planetę za zbyt niebezpieczną. Ale ludzie mogą osiąść wszędzie, jeśli tylko są ludźmi, a nie półautomatami. Dlatego przyleciałem tu, żeby zbadać Loren Dwa, a zwłaszcza sfeksy. Mamy w planach jeszcze raz wystąpić o zezwolenie, tylko wtedy dostarczymy dowodów na to, że poradzimy sobie nawet z tymi bestiami. Ja już wypracowałem sobie na nie sposób. A teraz dowiaduję się, że Misja Kolonialna zezwoliła na budowę osady robotów. I to gdzie?

- Obrzełeś zły sposób osiągnięcia szczytnego celu, Huygens - powiedział Roane, przybierając surowy wyraz twarzy. - To wszystko jest od początku do końca nielegalne. Rozumiem, a nawet podziwiam twój duch pioniera, tylko że to wszystko nie powinno się zdarzyć. W końcu kiedyś w przeszłości pierwsi koloniści opuścili Ziemię i odlecieli do gwiazd, ale...

Sourdough stanął nagle na tylnych łapach i zaczął węszyć. Huygens przesunął strzelbę tak, żeby w każdym momencie można było jej użyć. Roane odbezpieczył swoją broń. Nic się nie stało.

- Mówisz o wolności i własnych decyzjach - ciągnął Roane - a to dla wielu ludzi po prostu polityka. Ty twierdzisz, że to coś więcej. Zasadniczo się z tobą zgadzam, ale sposób, w jaki o tym opowiadasz, zakrawa na jakąś szaloną religię.

- To po prostu szacunek dla samego siebie - poprawił Huygens.

- Może...

Faro Nell zaryczała. Popchnęła nosem Nuggeta w kierunku Roane'a i podbiegła szybko do samców, które stały zwrócone ku pełnemu sfeksów centrum Martwej Równiny.

Huygens rozejrzał się dookoła.

- Mogło być nieciekawie - powiedział cicho - ale na szczęście nie ma wiatru. Chodź, wejdziemy na to wzgórze.

Zaczął biec, a za nim Roane. Na końcu ciężko galopował mały Nugget. Dotarli wreszcie na miejsce. Właściwie była to mała górką, wznosząca się może dwa metry ponad pustynią, porośnięta jakimiś kolczastymi sukulentami. Huygens popatrzył przez lornetkę.

- Jeden sfeks - stwierdził. - Tylko jeden! Bez sensu! Sfeksy nigdy nie chodzą same. Chociaż równie nielogiczne jest ich gromadzenie się setkami tysięcy. - Zwilżył palec i wystawił w górę. - Żadnego wiatru.

Znów spojrział przez lornetkę.

- Ten sfeks nie wie, że tu jesteśmy. Po prostu oddalił się od grupy. Nie widzę żadnych innych... - zawahał się i zagryzł wargi. - Posłuchaj, Roane! Chciałbym zabić tego samotnego osobnika, a potem coś sprawdzić. Istnieje pięćdziesiąt procent szans, że dowiem się czegoś istotnego. Może będę musiał prędko się stamtąd zwijać... - uśmiechnął się. - Słuchaj, muszę to zrobić szybko, dlatego pojedę na Faro Nell.

Sitka i Sourdough raczej nie zostaną z tobą, ale Nugget nie umie biegać wystarczająco szybko. Zaopiekujesz się nim?

Roane wciągnął głośno powietrze.

- Pewnie wiesz, co robisz - powiedział. - Jasne, zostanę z Nuggetem.

- Miej oczy otwarte. Jeśli dostrzeżesz coś obcego, nawet z daleka, strzelaj, a my wrócimy jak najszybciej. Nie czekaj, zanim to coś się zbliży. Reaguj w chwili, gdy zobaczysz jakiś ruch. Jeśli oczywiście w ogóle coś się pojawi.

Roane pokiwał głową na zgodę. Znowu stwierdził, że trudno mu wykrztusić choćby słowo. Huygens podszedł do ustawionych w szyku bojowym niedźwiedzi, wspiął się na grzbiet Faro Nell i mocno chwycił zmierzwione futro.

- Naprzód! - rozkazał. - Tam! Prędko!

Niedźwiedzie ruszyły pędem. Huygens chybotął się na grzbiecie Faro Nell, Semper spadł z karku Sourdough Charleya, zamachał gwałtownie skrzydłami i wzbił się w górę. Potem z wysiłkiem począł lecieć za grupką niedźwiedzi.

Wszystko trwało zaledwie parę chwil. W razie potrzeby kodiaki mogą biec szybko jak konie wyścigowe. Mknęły prosto jak strzała na niebiesko-beżowego stwora. Huygens złożył się do strzału i wypalił. Stuknięcie zamka strzelby i eksplozja pocisku zlały się w jeden dźwięk. Kolczasty potwór wyskoczył w górę i padł martwy.

Huygens zsunął się z niedźwiedziego grzbietu i zajął się gorączkowo czymś, co leżało na ziemi w miejscu, gdzie zginał sfeks. Semper przechylił się, zawirował w powietrzu i wylądował. Roane przyglądał się z daleka. Huygens robił coś z martwym sfeksem, dwa wielkie kodiaki krążyły wokół, a Faro Nell obserwowała człowieka z ogromną ciekawością, tymczasem na pagórku zaczął zawodzić Nugget. Roane poklepał go po głowie, ale mały rozmazał się jeszcze bardziej. W oddali Huygens wspiał się na grzbiet niedźwiedzicy. Sitka obrócił łeb i spojrział w kierunku Roane'a, zupełnie jakby zobaczył lub wyczuł coś podejrzanego. Uniósł się na tylnych łapach i chyba zaryczał, gdyż Sourdough podszedł do niego jak na zawołanie. Oba wielkie samce ruszyły truchtem w kierunku Roane'a. Semper trzepotał skrzydłami i

zataczał się w nieruchomym powietrzu jak pijany. Wreszcie wylądował na ramieniu Huygensa, uczepił się go pazurami.

W tej właśnie chwili Nugget zawył histerycznie i rzucił się na Roane'a, próbował wspiać się na niego jak małe zwierzątko, które chce schronić się na drzewie przed niebezpieczeństwem. Roane upadł pod naporem trzystukilogramowego niedźwiadka i w tym samym momencie ujrzał błysniecie łuskowatej skóry. Sfeks skoczył, wydając suche, skwierczące piski, przeleciał nad nimi i zaczął toczyć się po ziemi. Piszcział ogłuszająco. Sitka i Sourdough pędzili z szybkością rakiety. Faro Nell zaryczała straszliwie i kudłaty malec z płaczem pomknął w jej kierunku.

Roane w końcu podniósł się i złapał broń. Był naprawdę rozwścieczony. Sfeks przysiadł, aby ruszyć w skok za niedźwiadkiem, i wtedy Roane użył strzelby jak maczugi. Było zbyt blisko na strzał. Sfeks obrócił się i Roane padł na ziemię jak długi. Cóż, trudno ustać na nogach, kiedy czterystukilogramowa bestia z piekła rodem - połączenie kobry i dzikiego kota - w półobrocie uderza cię prosto w klatkę piersiową.

Zaraz nadciągnął z rykiem Sitka Pete. Stanął na tylnych łapach i zagrzemiał jak piorun w czasie burzy. Wyzywał sfeksa do walki. Nadjechał także Huygens, ale nie mógł strzelać, ponieważ Roane znajdował się w polu rażenia pocisku wybuchowego. Faro Nell szalała, rozdarta między potrzebą upewnienia się, że Nugget jest cały i zdrowy, a wściekłą furią matki, której potomstwo znalazło się w niebezpieczeństwie. Siedząc na grzbiecie niedźwiedzicy, z orłem idiotycznie uczepionym jego ramienia, Huygens mógł jedynie patrzeć bezradnie, jak sfeks walczy z Sitką, a Roane leży w zasięgu pazurów potwora.

5

Oddalili się stamtąd pośpiesznie, chociaż Sitka najwyraźniej miał ochotę chwycić trupa w zęby i rzucać nim raz po raz o ziemię. Był szczególnie wściekły, ponieważ napastnik zranił człowieka, a wszyscy potomkowie Kodusy Championa byli emocjonalnie związani z ludźmi. Jednak Roane nie odniósł poważnych obrażeń. Przeklinał kwieciście. Huygens umieścił go na grzbiecie Sourdough Charleya i kazał dobrze się trzymać. Roane podskakiwał przy każdym kroku, ale trajkotał jak najęty:

- Do diabła, Huygens! To nie w porządku! Sitka ma kilka głębokich ran. Te straszliwe pazury mogły być trujące.

Huygens pokrzykiwał tylko na niedźwiedzie i biegli dalej, jakby się paliło. Przebyli tak ze trzy kilometry, kiedy nagle Nugget rozplakał się z wyczerpania. Faro Nell zatrzymała się, aby utulić niedźwiadka.

- Dobrze - powiedział Huygens - może taki dystans wystarczy. Nie ma wiatru i reszta sfeksów jest w centrum równiny, a tutaj dotarły tylko te dwa. Może nawet reszta jest zbyt zajęta, żeby pójść naszym śladem. W każdym razie... - zsunął się na ziemię i wyciągnął środek odkażający oraz waciki.

- Najpierw Sitka - warknął Roane. - Nic mi nie jest!

Huygens przetarł tamponem rany niedźwiedzia. Nie były poważne, gdyż Sitka miał doświadczenie w walce ze sfeksami. Dopiero potem Roane pozwolił, żeby Huygens pokrył pachnącą ozonem substancją draśnięcia na jego piersi. Zapiękło.

- To moja wina - rzekł Roane. - Zamiast obserwować otoczenie, patrzyłem na ciebie. Zastanawiałem się, co tam robisz.

- Wykonywałem pobieżną sekcję zwłok - wyjaśnił Huygens. - Na szczęście ten sfeks był samicą. Miała właśnie składać jaja. Fuj! - skrzywił się i dodał: - Wiem teraz, dlaczego i gdzie migrują sfeksy. Wiem także, dlaczego nie muszą tu polować.

Zakleił rany Roane'a plastrem i ruszyli dalej na wschód. Musieli znaleźć się jak najdalej od martwych drapieżników. Szli równym tempem, a nad nimi Semper machał skrzydłami w szczerym oburzeniu. Był zły, że nie pozwolono mu podróżować na grzbiecie któregoś z niedźwiedzi.

- Robiłem już wcześniej sekcje sfeksów - ciągnął Huygens. - Niewiele wiemy o tych stworzeniach. Musimy się dowiedzieć jak najwięcej, jeśli kiedykolwiek mają tu zamieszkać ludzie.

- I niedźwiedzie - dodał ironicznie Roane.

- Tak - zgodził się Huygens. - Rzecz w tym, że sfeksy przybywają na pustynię, aby się rozmnażać. Wiesz, łączą się w pary i składają jaja na pustyni, gdzie ogrzewa je słońce. Martwa Równina to dla nich

szczególne miejsce. Na Ziemi foki w okresie godowym także wędrują w określone miejsca i wiem, że w tym czasie samce potrafią nic nie jeść całymi tygodniami. Łososie wędrują w górę rzek i strumieni, by złożyć ikrę. Nie jedzą wtedy w ogóle i wkrótce potem giną. Węgorze z kolei przemierzają tysiące mil, aby dopłynąć do Morza Sargassowego, tam odbywają tarło i umierają. Z całą pewnością Martwa Równina jest odwiecznym miejscem, gdzie sfeksy odbywają swe gody. Tutaj też składają jaja. Na nieszczęście, potem nie zdychają.

Roane brnął do przodu. Był wściekły na siebie. Nie zastosował żadnych środków ostrożności - czuł się zbyt bezpiecznie, jak każdy człowiek wychowany w cywilizacji pełnej pomocnych robotów. Kiedy Nugget zaczął płakać, nie przyszło mu do głowy, że malec instynktownie wyczuwa zbliżające się niebezpieczeństwo.

- Będę potrzebował wyposażenia z kolonii robotów - dodał Huygens.

- Z odpowiednim sprzętem możemy zacząć przystosowywać planetę do tego, aby w przyszłości

koloniści mogli na niej żyć jak ludzie. Roane zamrugał z niedowierzaniem.

- Coś ty powiedział?

- Sprzęt - powtórzył niecierpliwie Huygens. - Weźmiemy go z kolonii robotów. Automaty były bezużyteczne, ponieważ nie zwracały uwagi na sfeksy. I pozostaną bezużyteczne. Ale możemy użyć innych urządzeń! Nie powinny się zepsuć po paromiesięcznym przestoju pod gołym niebem.

Roane maszerował w milczeniu, lecz nagle powiedział:

- Nie sądziłem, że chciałbyś mieć do czynienia z czymkolwiek, co pochodzi z tej kolonii!

- Dlaczego? Nie mam nic przeciwko sytuacji, w której maszyny robią to, czego wymagają od nich ludzie. Nawet jeśli chodzi o roboty, oczywiście gdy znają swoje miejsce. Ale do tego zadania będę potrzebował miotaczy ognia sterowanych przez ludzi. W osadzie musi być kilka takich urządzeń, bo przecież wycięto łać lasu i wypalono polanę. I jeszcze sterylizatory ziemi, niszczące nasiona wszelkich roślin, z którymi nie mogły sobie poradzić roboty. Wrócimy na Martwą Równinę, Roane, i zniszczymy potomstwo

tych przeklętych bestii. Jeśli nie można zrobić nic więcej, przynajmniej będziemy co roku niszczyć wszystkie jaja i w końcu zlikwidujemy cały gatunek. Zapewne są jeszcze inne hordy i inne miejsca lęgowe, ale je także odnajdziemy. Uczynimy z tej planety miejsce, gdzie będą mogli mieszkać moi ziomkowie, zachowując godność człowieczeństwa.

- Zdaje się, że to sfeksy pokonały oddział robotów - powiedział sardonicznie Roane. - Jesteś pewien, że nie pracujesz właśnie nad stworzeniem bezpiecznego świata dla maszyn?

Huygens roześmiał się.

- Widziałeś jak dotąd tylko jednego nocnego włóczęgę - rzekł. - A co powiesz o tych stworach na wzgórzu, które wyssałyby ci całą krew, a następnie by cię pożarły? Czy odważyłbyś się podróżować po Loren Dwa, mając w obstawie tylko robota? Ludzie nie mogliby tu żyć jedynie z pomocą maszyn, które nieuchronnie pozbawią ich części ludzkiego dziedzictwa. Sam się przekonasz, Roane!

Znaleźli kolonię zaledwie po dziesięciu dniach dalszej wędrówki. Do tego czasu zabili wiele sfeksów. Sporo rogatych stworów oraz kudłatych przeżuwaczy

padło od kul lub śmiertelnych ciosów niedźwiedzi. Jednak zanim dotarli do osady, natknęli się najpierw na ocalałych ludzi.

Było ich trzech - zawziętych i głęboko rozgoryczonych brodatych mężczyzn. Kiedy przewrócił się elektryczny płot, dwóch z nich w tunelu instalowało nowe panele kontrolne dla robotów, które pracowały w kopalni. Trzeci był kierownikiem całej inwestycji. Zaalarmowało ich przerwanie łączności z osadą, wrócili więc do opancerzonego transportera i pojechali sprawdzić, co się stało. Ocaliło ich to, że nie byli uzbrojeni. Na miejscu zastali sfeksy, które plądrowały osadę. Było ich tyle, że osadnicy nie wierzyli własnym oczom. Drapieżniki wyczuły obecność ludzi w opancerzonym pojeździe, ale nie mogły się dostać do środka. Ludzie z kolei nie mogli zabić bestii - na szczęście, bo inaczej wszystkie sfeksy podążyłyby w ślad za nimi do kopalni i zaczęłyby się prawdziwe oblężenie.

Wrócili do kopalni i oczywiście wstrzymali wszystkie prace. Próbowali wysłać zdalnie sterowane roboty do walki ze sfeksami, a także po zapasy żywności. Jednak roboty budowlane nie zostały

zaprogramowane do tego rodzaju zadań, a poza tym nie były uzbrojone. Osadnicy skonstruowali prowizoryczne miotacze na paliwo raketowe i kilka sfeksów musiało zwiewać jak niepyszne, z przypaloną skórą. Na dłuższą metę jednak miotacze były użyteczne tylko dlatego, że nie zabijały sfeksów. Ich niewątpliwą wadą zaś było to, że pożerały paliwo. Koniec końców ludzie zabarykadowali się i używali paliwa tylko do podtrzymania sygnału radiowego. W ten sposób czekali dnia, w którym miał się pojawić kolejny statek poszukujący kolonii. Siedzieli w kopalni jak w więzieniu, wydzielali sobie minimalne racje żywnościowe i stopniowo tracili nadzieję. Zostało im tylko kontemplowanie nieczynnych - z braku zapasów paliwa - minirobotów, które i tak nie umiały robić niczego poza drążeniem tuneli.

Na widok Huygensa i Roane'a rozplakali się jak dzieci. Nienawidzili robotów tylko trochę mniej niż sfeksów. Huygens wytłumaczył im plan działania i wręczył broń schowaną w paczkach taszczonych przez niedźwiedzie. Potem wszyscy pomaszerowali w stronę martwej osady. Sitka Pete i Sourdough Charley znowu stanowiły szpicę oddziału, a Faro Nell obstawiała tyły.

Po drodze zabili szesnaście sfeksów. Na zarośniętej już nieco polanie spotkali jeszcze cztery. W zabudowaniach panował smród, wokół leżały porozrzucane ludzkie szczątki. Było tam też trochę jedzenia - niezbyt dużo, ponieważ sfeksy rozdzierały pazurami wszystko, co nosiło zapach człowieka, i w ten sposób zniszczyły wiele pojemników z wysterylizowanym pożywieniem. Nie zdołały jednak dostać się do paczek schowanych w metalowych kontenerach.

W stacji było także paliwo i roboty. Stały wszędzie, lśniące i gotowe do działania, jednak od jakiegoś czasu unieruchomione, o czym świadczyły rosnące wokół rośliny. Ludzie zignorowali roboty, rzucili się natomiast do napełniania paliwem miotaczy ognia. Przystosowali je do ręcznego sterowania. Uzupełnili także zbiorniki gigantycznego sterylizatora gruntu, a potem z płonącymi nienawiścią oczami wrócili na Martwą Równinę.

W tym czasie Nugget z miłego niedźwiadka stał się rozwydrzonym bachorem, a wszystko za sprawą ocalałych osadników, którzy z lubością rozpieszczali

przyszłego zabójcę sfeksów. Na każdym postoju bawili się z małym i hołubili go nieustannie.

Dotarli na płaskowyż. Semper wypatrywał drapieżników, a potem gigantyczne kodiaki rzucały się na grupy niebiesko-beżowych stworzeń. Huygens i Roane strzelali nieustannie, olbrzymie maszyny także uczestniczyły w walce. Okazało się na przykład, że sterylizator gruntu równie skutecznie uśmiercał zwierzęta jak rośliny - wystarczyło tylko podnieść i odpowiednio nakierować promiennik diatermiczny. Jednak tego mógł dokonać jedynie człowiek. Żaden robot nie potrafiłby zdecydować, kiedy użyć emitera. Nie umiałby też wybrać odpowiedniego celu.

Teraz już niedźwiedzie nie były potrzebne, ponieważ zapach spalonych resztek sfeksów sprowadzał kolejne osobniki ze wszystkich części płaskowyżu mimo bezwietrznej pogody. Drapieżniki chyba już skończyły gody i składanie jaj. Teraz gromadziły się tu, aby płakać nad stratą towarzyszy i szukać zemsty. Osadnicy z kolonii robotów prowadzili pojazdy tak, jak to potrafili tylko ludzie. Zakreślali wielkie okręgi wokół największego stosu martwych stworów i sukcesywnie niszczyli pojawiające się

sfeksy. Był to mord na skalę, jakiej gatunek ludzki nie osiągnął na żadnej innej planecie. Pozostało niewiele drapieżników, które mogłyby się rozmnażać w tej części pustyni. Prawdopodobnie były jeszcze inne hordy i inne miejsca lęgowe, ale Martwa Równina nie ujrzy wielu sfeksów tego roku. Ani następnego. Sterylizator gruntu przeczesał rozkopany piach, w którym drapieżniki złożyły jaja. Słońce już ich nie ogrzeje, nigdy nie wyklują się z nich młode.

Huygens i Roane z niedźwiedziami odpoczywali w obozie rozbitym po zawietrznej od miejsca kaźni. Osadnicy z kolonii robotów chcieli sami dokonać dzieła zniszczenia. Koniec końców wszyscy ich towarzysze zostali zabici przez sfeksy.

Nadszedł wieczór. W pewnym momencie Huygens odsunął łagodnie Nuggeta, który węszył niecierpliwie w pobliżu piekącego się nad ogniskiem steku. Niedźwiadek powlókł się smętnie ku Roane'owi i zaczął chlupać.

- Huygens - powiedział Roane z boleścią - musimy postanowić coś w naszej sprawie. Jestem oficerem Misji Kolonialnej, a ty nielegalnym

osadnikiem. Mam obowiązek natychmiast cię aresztować.

Huygens spojrzał na niego z ciekawością.

- Obiecasz mi złagodzenie wyroku, jeżeli doniosę na współników? - zapytał spokojnie. - Pozwolę sobie zaznaczyć, że nie można mnie zmusić do zeznań przeciwko sobie samemu.

- To irytujące - kontynuował Roane. - Przez całe życie byłem uczciwym człowiekiem. Nie mam już takiego zaufania do robotów jak dawniej. Wiem, że mają swoje miejsce, ale na pewno nie na Loren Dwa. No, w każdym razie kolonia robotów była źle zaplanowana. Teraz sfeksy zostały prawie zmiecione z powierzchni planety, ale przecież nie wyginą zupełnie. A roboty nie potrafią sobie z nimi radzić. Niedźwiedzie i ludzie będą musieli jakoś tu żyć, chyba że przystaną na wegetację w obrębie antysfeksowych ogrodzeń i uzależnienie od automatów. Loren Dwa jest zbyt piękna. Życie w kontrolowanej przez maszyny enklawie na takiej planecie to po prostu... to brak szacunku dla samego siebie!

- Uważaj, bo jeszcze nawrócisz się na nową wiarę
- powiedział Huygens oschle. - Tak właśnie niedawno określiłeś szacunek człowieka do samego siebie.

Semper zaskrzeczał z oburzeniem, kiedy podchodzący do ognia Sitka prawie na niego nadepnął. Niedźwiedź zaczął węszyć, usiadł z głuchym tąpnięciem. Patrzył na piekący się stek i ślina ciekła mu z pyska.

- Nie pozwalasz mi skończyć - zaprotestował Roane płaczliwym tonem. - Jestem oficerem Misji Kolonialnej i powinienem złożyć raport o wszelkich pracach na tej planecie, zanim przybędą tu pierwsi koloniści. Oczywiście mam również za zadanie dopilnować, czy wykonano wszystkie zalecenia. Przybywam tu i na miejscu przekonuję się, że pionierska kolonia robotów została praktycznie zniszczona. Projekt nie zdał egzaminu. Kolonia robotów nie miała szans na przetrwanie.

Robiło się coraz ciemniej. Huygens mruknął coś pod nosem i obrócił mięso nad ogniskiem.

- W takich przypadkach - powiedział Roane ostrożnie - koloniści mają prawo wezwać jakikolwiek przelatujący w pobliżu statek i poprosić o pomoc. To

oczywiste! Zawsze byłem uczciwy. W moim raporcie napiszę, że projekt kolonii robotów w takiej postaci był niepraktyczny oraz że osada została napadnięta i zniszczona. Przeżyło tylko trzech ludzi, którzy ukryli się w kopalni i nadali sygnał SOS. Tak było, nieprawdaż?

- Mów dalej.

- Więc... - ciągnął Roane drżącym głosem - zdarzyło się... po prostu stało się... zdarzyło się tak, że sygnał został odebrany przez statek, na którego pokładzie znajdowałeś się ty. Sitka, Sourdough i Faro Nell... i oczywiście Nugget oraz Semper. Wylądowałeś na planecie i ocaliłeś kolonistów. To już cała historia. Dlatego wcale nie przebywasz na Loren Dwa nielegalnie. To znaczy byłeś tu nielegalnie, ale będziemy udawać, że to nieprawda.

Huygens spoglądał przez ramię w coraz gęstsze ciemności. W końcu powiedział cicho:

- Nie uwierzyłbym w taką bajkę. Myślisz, że specjaliści dadzą się nabrać?

- Oczywiście, że nie - odparł Roane cierpko. - Nie są przecież głupcami. Ale mój raport potwierdzi, że na skutek tego nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności

wyszło na jaw, iż planetę można zasiedlić, chociaż wcześniej wydawało się to niemożliwe. Dowiedzie również, że kolonia złożona wyłącznie z robotów jest kompletnym nonsensem. Jeżeli jednak zamieszkają tutaj ludzie i niedźwiedzie z twojej planety, to wkrótce na Loren Dwa będzie można przyjmować rocznie wiele tysięcy nowych osadników... notabene to wszystko prawda...

Huygens trząsł się trochę, chyba z zimna. Dla Roane'a był ciemną sylwetką na tle płomieni. Nieco dalej Sourdough węszył z nadzieją. Jasne światło ogniska mogło przyciągnąć latające małpostwory. Dla niedźwiedzi wampiry były wyjątkowo smacznymi kąskami.

- Moje raporty mają ogromne znaczenie - powiedział Roane z naciskiem. - Misja na pewno zaproponuje jakiś układ. Projektanci kolonii robotów będą musieli iść na ugodę albo wszystko stracą. Wierz mi! Twój rodacy będą mogli wynegocjować od nich niemal wszystko.

Nagle zrozumiał, dlaczego Huygens ma drgawki - po prostu się śmiał.

- Jesteś podłym kłamcą, Roane - powiedział chichocząc. - To bardzo głupie, nierozsądne i nieracjonalne. Poświęcasz całe swoje uczciwe życie po to, żeby wyciągnąć mnie z kłopotów? Nie zachowujesz się jak trzeźwo myślące zwierzę, ale szczerze mówiąc, wiedziałem, że tak będzie.

Roane kręcił się niespokojnie.

- To jedyne wyjście, jakie przychodzi mi do głowy. Ale będzie grało.

- Zgadzam się. - Huygens wyszczerzył zęby w uśmiechu. - I dziękuję. Dziękuję, bo na skutek twojej decyzji kilka pokoleń ludzi będzie mogło pędzić żywot godny naszego gatunku na planecie, na której jest tak wiele do zrobienia. Dziękuję, bo twój wybór uchroni Sitkę, Sourdough Charleya, Faro Nell i Nuggeta od śmierci. W innym wypadku niedźwiedzie zostałyby zabite, ponieważ sprowadziłem je tu nielegalnie.

Coś napało na Roane'a. Nugget niecierpliwie domagał się dostępu w pobliże apetycznie pachnącej kolacji. Pchał się uparcie do przodu. Roane, który kuczał przy ognisku, upadł na ziemię jak długi. Rozanielony niedźwiadek zaczął wachać pieczone mięso.

- Uderz go! - powiedział Huygens. - Wtedy się odsunie.

- Nie! - zaprotestował z ziemi Roane. - Nigdy! - dodał ze szczerym oburzeniem. - Nugget to mój przyjaciel!

